

PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI

Dwutygodnik polityczny i społeczny.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcyja i Administracyja: Lwów, ul. Antoniego Maleckiego 3.

Administracyja otwarta codziennie od godz. 3—5 po południu. W sprawach redakcyjnych od 4—5.

NOWE NADZIEJE POLITYKI UGODOWEJ W ZABORZE ROSYJSKIM.

W *Schlesische Zeitung* i kilku innych pismach niemieckich zjawiała się niedawno dosyć zagadkowa wiadomość z Petersburga, że rząd »zamierza zrównać Polaków w prawach z innymi obywatelami państwa«. Jakkolwiek niezbyt jasnym jest wyrażenie o równouprawnieniu tam, gdzie obywatele — jeżeli, mówiąc o Rosyi, wolno użyć tego wyrazu — żadnych wogóle praw nie mają, można było tłómaczyć wiadomość, podaną w dziennikach zagranicznych, jako zapowiedź zniesienia ustaw wyjątkowych i rozporządzeń specjalnych przeciw Polakom. Jednocześnie wszakże znaleźliśmy w *Kraju* i w pismach rosyjskich wyjaśnienie tej wiadomości ogólnikowej. Z polecenia ministra spraw wewnętrznych w miastach gubernialnych na Litwie i Rusi, czyli według terminologii rosyjskiej — w »kraju zachodnim«, utworzone zostały komisye pod przewodnictwem gubernatorów dla zbadania sprawy wprowadzenia samorządu ziemskiego. *Kraj* wyraża przekonanie, że sprawa ta już obecnie dojrzała i nic nie stoi na przeszkodzie do pomyślnego jej rozwiązania, bo rezultaty wprowadzenia samorządu miejskiego i sądów przysięgłych rozproszyły wszelkie obawy. »Jesteśmy mocno przekonani — pisze *Kraj*, że instytucye ziemskie odpowiedzą jeszcze w wyższym stopniu pokładanej w nich ufności i staną się organami porządku, pracy spokojnej i pożytecznej, przedstawicielstwem umiarkowanej i zachowawczej opinii«.

Zdanie *Kraju* jest raczej wyrazem gorących życzeń, aniżeli pewnych informacji, a utworzenie komisji nie rozstrzyga jeszcze sprawy. Zdaje się jednak, sądząc z głosów prasy rosyjskiej, że istotnie rząd rosyjski zamierza obdarzyć łaskawie kraj zachodni, a może w blizkiej przyszłości i Królestwo, samorządem ziemskim. W Radzie państwa, jak zapewnia *Nowoje Wremia*, stwierdzono, że nadeszła chwila odpowiednia do rozstrzygnięcia sprawy zaprowadzenia urzędów ziemskich w całym państwie.

Ugodowcy w zaborze rosyjskim podnieśli znowu głowę, uważają bowiem obietnicę wprowadzenia instytucji ziemskich, jako znamienny objaw zmiany w polityce rządu rosyjskiego względem Polaków. Mówią też o innych »ustępstwach« rządu, niewłaściwie używając tego wyrazu w zastosowaniu do oczekiwanych ulg i łask. Ale nie będziemy spierać się o wyrazy, chociaż nieodpowiednie ich używanie bałamuci w pewnej mierze opinię publiczną. Wiadomo, do jakich naiwnych złudzeń skłonni są politycy tego autoramentu. Należy jednak sądzić, że tym razem mają jakąś podstawę do spodziewania się pewnej zmiany w stosunku rządu do społeczeństwa polskiego. Nauczani przykrem doświadczeniem są w jawnych swych wynurzeniach bardzo oględni

i wstrzemięźliwi, ale znowu wysyłali niedawno delegatów swoich do Galicyi z prośbą do tutejszych sfer wpływowych o zapobieganie wszelkim objawom opinii publicznej, któreby, zdaniem ich, sprawie pojednania społeczeństwa polskiego z rządem rosyjskim zaszkodzić mogły. Starano się też wpłynąć na prasę, żeby o tej sprawie i wogóle o stosunkach w zaborze rosyjskim jak najmniej pisała.

W każdym społeczeństwie politycznie wykształconem takie bawienie się w tajemnice, przypominające maniery początkujących spiskowców lub panien źle wychowanych, ośmieszyłoby niepowołanych mężów stanu, u nas jednak pokątne kręactwo uchodzi nieraz za dowód mądrości i dojrzałości. Tego rodzaju intrygom zawdzięczają poniekąd stańczycy sławę wytrawnych polityków. Ma się rozumieć, uczciwa i rozsądna część społeczeństwa i prasy nie może poddać się tym dziwnym wymaganiom, tej samowolnie narzuconej cenzurze, chociażby nawet pragnęła poprawy istniejących stosunków w zaborze rosyjskim. Tymbardziej zaś nie uczyni tego, będąc przekonaną, że na drodze, którą wskazują ugodowcy, do żadnego pozytywnego a dla nas pożądanego rezultatu dojść nie można, że kierunek zasadniczy ich polityki jest błędny, a więc tem samem szkodliwy.

Chociaż *Kraj* nazywa nas organem »skrajnego szowinizmu«, wyznajemy otwarcie, że z radością powitalibyśmy wszelką zmianę na lepsze warunków politycznych w zaborze rosyjskim. Ogromna większość społeczeństwa polskiego, bez względu na różnicę przekonań, pragnie gorąco takiej zmiany, któraby pozwoliła zużytkować w twórczej, organicznej działalności marniejący dziś zasób sił żywotnych. Nawet stronnictwa najbardziej skrajne i nieprzejednane, nie przeniewierzając się bynajmniej swoim zasadom, uznają niewątpliwie, że poprawa położenia politycznego naszej narodowości pod panowaniem rosyjskiem byłaby z różnych powodów korzystną. Hasło »im gorzej, tym lepiej« nie wielu znajduje zwolenników. Naturalnie, dla jednych zmiana, z konieczności bardzo ograniczona, w położeniu politycznym będzie mniej lub więcej dostatecznym zaspokojeniem ich wymagań; dla drugich — ułatwieniem działalności, mającej na celu zmuszenie rządu do ustępstw i stopniowe rozszerzanie praw i swobód narodowych; dla trzecich wreszcie — pomyślnym układem warunków, które mogłyby skuteczniej niż dziś wyszukiwać dla swych celów. Ale jest to kłamstwo, powtarzane rozmyślnie, że przedstawiciele skrajnych — ze stanowiska lojalizmu zachowawczego — kierunków politycznych i społecznych są z zasady przeciwni wszelkiemu uregulowaniu stosunków polsko-rosyjskich. Ugodowcy poprzestaliby na bardzo skromnych ulgach, inni mają żądania dalej sięgające, którym rząd rosyjski dobrowolnie zadosyćuczynić nie zechce, inni nakoniec nie zadowolniliby się żadnymi ustępstwami

w zakresie stosunków istniejących, lecz i ci nawet, uznając niedostateczność wszelkich kompromisów, nie są tak naiwni, jak ich i *Czas* lub *Kraj* przedstawia i, nie kwitując z niczego, przyjęliby chętnie to, co na razie uzyskać można.

Polityka ugodowa nawet w tych warstwach, które zarówno ze swego usposobienia, jak, bardziej jeszcze, ze względu na swe interesy społeczne i ekonomiczne niewątpliwieby ją popierały, znajduje dziś przeciwników głównie z dwóch następujących powodów. Kierownicy jej i publicyści wygłaszają z gruntu fałszywą i szkodliwą dla rozwoju samodzielności społecznej i narodowej zasadę, że można cokolwiek uzyskać od rządu bez walki, bez zmuszenia go do ustępstw, bez prośb nawet, któreby zawierały w sobie domyslnie żądanie, ale jedynie w nagrody za lojalne zachowanie się narodu i wyrażanie przy każdej sposobności uczuć wiernopoddanych. Do tej sprawy, zresztą dostatecznie już wyjaśnionej, wrócimy jeszcze, teraz zaś skierujemy szczególną uwagę na drugi zarzut, podnoszony przeciw polityce ugodowej właśnie w tych sferach, które w zasadzie są jej przychylne.

Zaznaczyliśmy już przed kilkoma miesiącami, że w tych sferach które pragną uregulowania stosunku społeczeństwa polskiego do rządu rosyjskiego i okazują usposobienie pojednawcze, zarysowują się dwa kierunki polityczne, różniące się zasadniczo. Mniejszość, która prowadzi obecnie, a raczej propaguje politykę ugodową, stara się, według wyrażenia *Schlesische Zeitung*, o zrównanie Polaków w prawach z innymi obywatelami państwa rosyjskiego, czyli, mówiąc inaczej, o zniesienie ustaw i rozporządzeń wyjątkowych i o uzyskanie tych instytucji samorządu, które Rosya właściwa posiada. Dążenie to zgadza się właściwie zupełnie z centralistyczną polityką rządu, systematycznie usuwającą wszelką odrębność administracyjną i narodową ziem polskich. Przeważna zaś większość inteligencji i nawet szlachty, wśród której polityka ugodowa najwięcej liczy zwolenników, sądzi że koniecznym warunkiem pożądanego kompromisu musi być przyznanie społeczeństwu naszemu, chociażby w szczupłej mierze, odrębności narodowej, przede wszystkim zaś przyznanie należnych praw językowi polskiemu w szkole, sądownictwie, administracji i t. d., dopuszczenie Polaków do zajmowania urzędów, słowem, częściowe bodaj przywrócenie stanu rzeczy, istniejącego przed r. 1863. Równouprawnienie w państwie, w którym zakres praw obywatelskich jest bardzo ograniczony, nie wielką wartość przedstawiać może i jeżeli daje nawet pewne korzyści, to równoważą je, a nawet przeważają szkody, na które naraziłoby społeczeństwo nasze ściślejsze zjednoczenie z państwem rosyjskiem za pomocą instytucji samorządu.

Wprawdzie zwolennicy zalecanej dziś taktyki ugodowej w poufnych wyrznięciach zapewniają, że równouprawnienie Polaków, właściwie uzyskanie instytucji samorządu, wytworzy właśnie grunt odpowiedni do dalszych zabiegów i starań o przywrócenie odrębności narodowej, mianowicie przywrócenie praw językowi polskiemu w sferze działalności publicznej — ale twierdzenie to jest mylnem. Dopóki istnieje w państwie rosyjskim centralistyczny system rządzenia, nie uznający żadnych odrębności narodowych, wszystkie instytucje, w duchu jego działające, a takimi są dziś i instytucje samorządu, muszą być dla naszych dążeń i interesów szkodliwe i wzmacniać tylko mogą politykę rasyfikacyjną. Skoro raz język rosyjski wejdzie w użycie w instytucjach społecznych, usunięcie jego w warunkach normalnych

będzie bardzo trudnem, prawie niemożliwem. Bo jeżeli używanie obowiązkowe tego języka nie przeszkadza prawidłowemu działaniu instytucji samorządu przez czas dłuższy, to jakież może być powód słuszny, zwłaszcza dla rządu rosyjskiego, żeby pożądanego dla niego stanu rzeczy zmienić. Gdyby społeczeństwo nasze wywalczyło sobie instytucje samorządu ziemskiego i miejskiego, gdyby zmusiło rząd do ich nadania, lub gdyby rząd nadał je z własnej inicjatywy, bez starań naszych o to i bez jawnych lub domyslnych zobowiązań z naszej strony, wówczas niewątpliwie stanęłaby odrazu na porządku dziennym sprawa używania języka polskiego. Ale w takich okolicznościach, w jakich obecnie te instytucje otrzymać możemy, musi być ta niezmiernie doniosła sprawa odroczone na czas nieograniczony. Nie trzeba być prorokiem, żeby przepowiedzieć, że powtórzy się to, co widzimy w analogicznych warunkach w Galicyi. Ugodowcy, przyznając, że sprawa jest ważną, nie zechcą jej poruszać, by nie narażać otrzymanych w drodze łaski dobrodziejstw samorządu. I okaże się, że jedynym rezultatem praktycznym będzie rozszerzenie wpływu języka rosyjskiego na nasze życie zbiorowe i wzmocnienie polityki centralistycznej rządu.

Bo ów upragniony samorząd nie wielką w samej rzeczy dla społeczeństwa naszego przedstawia wartość. Ograniczony zakres jego działania, obejmujący niemal wyłącznie sprawy gospodarcze, u nas zapewne będzie jeszcze obcięty »w zastosowaniu do warunków miejscowych«. W mowie i piśmie używamy bardzo dowolnie, zwłaszcza w zaborze rosyjskim, wyrazu samorząd, a ogół inteligentny, nie mający dokładnego pojęcia o instytucjach ziemskich w Rosyi, nadaje im znaczenie, jakiego w rzeczywistości nie posiadają i posiadać nie mogą. Ten samorząd w sprawach administracyjno-ekonomicznych i poniekąd w społecznych nie ma nic wspólnego z autonomią prowincjonalną, lub narodową, chociaż znaczenie utarte tych wyrazów dosyć jest blizkiem. Nie wytwarza więc on wcale i z natury swej wytworzyć nie może gruntu, odpowiedniego do działalności, dążącej do zmian w dziedzinie stosunków prawno-politycznych.

Mamy zresztą przykład pouczający w zakresie naszych stosunków narodowych. Czy ma jaką wartość polityczną dla społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim istniejący tam samorząd? Nie jest on żadną dla nas pomocą w sprawie zachowania odrębności narodowej, przeciwnie, współdziałając polityce centralistycznej rządu, staje się nieraz pośrednim lub nawet bezpośrednim środkiem germanizacji. Niewątpliwie, gdyby społeczeństwu polskiemu w zaborze pruskim pozwolono decydować, rzekłoby się ono chętnie tego samorządu, a może nawet dobrodziejstw konstytucji w zamian za przywrócenie tego stanu rzeczy, który istniał np. w Poniańskim w pierwszych latach po kongresie wiedeńskim, kiedy w szkołach uczono po polsku, urzędy zajmowali Polacy. Mniejsza o to, kto zarządza budową i naprawą dróg, szpitalami, asekuracją przymusową i t. p. sprawami, stokroć ważniejszą rzeczą jest: jaki język panuje w szkole, sądzie, administracji, czy żywioł polski zajmuje posady urzędowe, czy ma możliwość swobodnego i wszechstronnego rozwijania swej działalności zbiorowej i indywidualnej, swej odrębności przyrodzonej, swej kultury samoistnej, lub chociażby tylko bezpiecznego przechowywania do lepszych czasów swych właściwości znamiennych. My wyznajemy szczerze, że wolelibyśmy widzieć powrót do patryarchalno-despotycznych rządów Paskiewicza i Bibikowa, z ówczesną

odrębnością administracyjną i narodowo-społeczną nie tylko Królestwa, ale poniekąd Litwy i Rusi, aniżeli urzeczywistnienie wspólnego ideału politycznego naszych ugodowców i liberalnych *objedenitieli* rosyjskich — jednakowe prawa i jednakowe instytucje dla wszystkich poddanych cara, na całej przestrzeni od Kalisza do Kamczatki, obradujące w tym samym języku urzędowym i z tą samą gorliwością pracujące »dla dobra wspólnego dla nas wszystkich państwa«.

Nawet urządzenia liberalno-konstytucyjne okazują się nieraz szkodliwymi dla zachowania odrębności narodowej, jeżeli system rządzenia ma charakter centralistyczny. Widzimy to np. na Węgrzech, gdzie narodowości ujarzmione straciły raczej niż zyskały na wprowadzeniu parlamentaryzmu nowoczesnego. Ale ustrój konstytucyjny wyzwala przynajmniej siły społeczne, daje możność walki na gruncie prawnym, daje jaką taką rękojmię bezpieczeństwa osobistego i zbiorowego, co równoważy ujemne skutki wzmocnienia centralizmu. To wszakże, co się nazywa samorządem w Rosyi, w niczem nie rozszerza zakresu praw obywatelskich. Wszelkie działanie w tym kierunku w instytucjach społecznych uważanem jest tak samo za zamach na władzę państwa i tak samo prześladowanem, jak tajny spiszek czy zmowa w celu osiągnięcia zmiany »istniejącego porządku rzeczy«. Samorząd rosyjski nie jest wcale przygotowaniem społeczeństwa do życia politycznego, ma on inne zadania, ściśle określone, stanowi, pożyteczne zresztą, uzupełnienie działalności administracji państwowej w dziedzinie spraw gospodarczych.

Nie przeczymy bynajmniej, że instytucje samorządu ziemskiego i miejskiego w państwie rosyjskiem działają na ogół wcale dobrze i dużo korzyści społeczeństwu przynoszą, że dla narodu rosyjskiego, w którym ucisk biurokratyczny zabił wszelką inicjatywę w sprawach zbiorowych, mają nawet znaczenie polityczno-wychowawcze. Dla naszego społeczeństwa taka praktyka wychowawcza mniej jest potrzebną, bo brakuje mu raczej zmysłu politycznego, którego instytucje samorządu wykształcić nie mogą, aniżeli tradycyi i uzdolnień administracyjnych. Zresztą ta warstwa społeczna w Królestwie, która najwięcej z samorządu by skorzystała, ma dziś w Towarzystwie kredytowym ziemskim, w sądownictwie gminnem i w ogóle w sprawach gminnych bodaj taką samą sposobność do praktyki życia publicznego, jaką daje na szczupłą miarę zakrojona działalność ziemstw rosyjskich. Niewątpliwie samorząd ziemski, nawet rozmaitemi ograniczeniami zaopatrzony, przyniósł by pożytek krajowi naszemu, lecz ten pożytek nie może wyrównać szkody, jaką będzie dla sprawy narodowej uprawnienie języka rosyjskiego w naszym życiu zbiorowym i współdziałanie władzy rosyjskiej w jej czynnościach wprost przeciw nam wymierzonych, tej szkody wreszcie, jaką dziś wyrządza moralności publicznej propaganda lojalizmu.

Dosyć powiedzieć, że do ziemstwa należy zakładanie i uposażanie szkół ludowych, ale do wykładu w nich wtrącać się nie mogą. Będziemy więc popierali szkołę rosyjską, wstrętą ludowi, popierali wbrew jego woli, ale na jego koszt, będziemy dawali pieniądze na budowę cerkwi prawosławnych w naszym kraju, na dodatkowe uposażanie urzędników policyjnych, straży ziemskiej, żandarmerji, może nawet na pisma i wydawnictwa rządowe dla ludu i t. d. bo są to albo wydatki obowiązkowe, albo takie, których uchwalenia większość nie odważy się odmówić. Zapomniałem dodać, że w okolicznościach szczególnych będziemy poda-

wali adresy odpowiednie już nie pod naciskiem władzy, ale dobrowolnie, wobec przedstawicieli ludu, który w ten sposób zacznie się... oświecać politycznie.

W sprawach, któremi zajmować się będzie samorząd ziemski, silnie musi wystąpić przeciwieństwo interesów ekonomicznych i społecznych szlachty i ludu, bo są to sprawy blisko i bezpośrednio ten ostatni obchodzące. Nie sądzimy, żeby uświadamianie, a nawet zastraszanie tego przeciwieństwa było niebezpiecznem tam, gdzie mnóstwo innych wpływów oddziaływa na lud w duchu narodowym, gdzie rząd nie jest tym trzecim, który *duobus litigantibus gaudet*, gdzie wreszcie odrębność naszego życia publicznego jest zapewnioną. Natomiast nieuniknioną sprzeczność interesów w każdej sprawie ekonomicznej i społecznej, podlegającej kompetencji ziemstw, rząd rosyjski nieomieszcza wyzyskać i umyślnie rozbudzać będzie waśń klasową za pomocą swoich czynowników - demagogów, którzy, mówiąc nawiasem, jak n. p. komisarze włościańscy i obrońcy interesów skarbu, muszą mieć prawo czynnego udziału w instytucjach samorządu.

Jak zaś może to być niebezpiecznem, wskazuje świeży przykład, wzięty ze stosunków wielkopolskich, gdzie lud, nawet zdaniem zachowawców naszych, jest pod względem narodowym uświadomiony. W Czarniejewie gospodarze polscy z gmin Marzenina, Kosowa i Jarząbkowa przy wyborach deputowanych na sejmik powiatowy głosowali jednomyślnie na Niemców. Zrobili to dla tego jedynie, że poprzedni deputowany Polak oświadczył się za wybudowaniem kolejki na koszt powiatu. W Galicyi fakt podobny byłby niemożliwy, a chociażby nawet się zdarzył, nie miałby poważnego znaczenia wobec narodowego charakteru całego życia publicznego kraju, lecz w Królestwie i na Litwie wybór Rosyanina przez włościan, w dodatku w roli obrońcy ich słusznych interesów lub niesłusznych pretensyj, wywierałby wpływ demoralizujący całą okolicę pod względem politycznym i narodowym.

Niejednokrotnie w t. zw. liberalnej prasie rosyjskiej wygłaszano zdanie, że najskuteczniejszym środkiem zjednoczenia kresów z państwem, czyli, po prostu rusyfikacyi byłoby zniesienie tam wszelkich ograniczeń oraz praw odrębnych i wprowadzenie instytucji samorządu, istniejących w Rosyi właściwej. W naszym społeczeństwie do niedawna jedynie p. Spasowicz wyrażał opinię, że nadanie naszemu krajowi wspólnych z Rosyą urządzeń byłoby pożądanem. Zdrowy instynkt polityczny narodu powstrzymywał wszelkie dążenie w tym kierunku, lękał się każdej próby ujednostajnienia warunków życia zbiorowego, zalecał bronić znamion naszej odrębności społecznej i administracyjnej nawet w drobiazgach, nawet w formach przestarzałych i nieodpowiadających wymaganiom czasu. Ten z pozoru ciasny, zaściankowy konserwatyzm wyglądał nieraz śmiesznie w oczach powierzchownych postrzegaczy, oburzał niedowarzonych krytyków, ale miał głębokie uzasadnienie, bezwiednie może wyrażał trafną myśl polityczną, że te wciąż uszczuplane resztki naszej autonomii narodowej mają wielką wartość, bo gdy się warunki zewnętrzne pomyślniej dla nas ułożą, łatwiej to, co jeszcze pozostało, rozwijać, uzupełniać, rozszerzać, aniżeli utracone zdobywać na nowo. W państwie rosyjskiem zwłaszcza, gdzie system polityczny nie ulega prawie wcale zmianom zasadniczym, ale zmieniają się znacznie i dosyć często formy rządzenia i skład osobisty sfer rządzących, takie przechowywanie znamion odrębności ma wielkie znaczenie.

Nie od nas zależy uzyskanie lub odrzucenie tych urzędów, które zrównają kraj nasz, nietylko w prawach, z resztą Rosyi i nie było by powodu wyrażać zdania swego w tej sprawie, gdyby rząd jedynie z własnej inicjatywy postanowił np. wprowadzić samorząd ziemski. Moglibyśmy tylko mówić wówczas o tem, w jaki sposób powinniśmy złe i szkodliwe dla nas właściwości tej reformy osłabić, a dobre — umiejętnie na pożytek własny wyzyskać. Ale kiedy zjawiają się niepowołani doradcy i kierownicy społeczeństwa, którzy mu zalecają, żeby się o ten dar Danajów pośrednio starało, kiedy ci ludzie bałamuć opinię ogółu, twierdząc, że ten oczekiwany krok rządu jest zapowiedzią zwrotu w usposobieniu jego dla Polaków i dopuszczenie przedstawicieli ludności do prowadzenia spraw gospodarczych w zakresie ograniczonym przedstawiają z komedyancką tajemniczością jako doniosłą zdobycz polityczną, jako uzyskanie gruntu pod budowę odrębności narodowej — wtedy trzeba to matactwo wyjaśnić, wykazując istotne znaczenie prawdopodobnych w bliskiej przyszłości zmian w życiu publicznem zaboru rosyjskiego.

Ta myśl, a raczej ta bezmyślność polityczna że polepszenie warunków bytu zbiorowego naszego narodu pod panowaniem rosyjskiem zależy raczej od zmiany stosunków wewnętrznych w Rosyi i sposobu rządzenia, aniżeli od usiłowań naszych w celu wzmocnienia odrębności narodowej i wytworzenia dla niej form odmiennych — nie jest wcale nową Stanowiła ona przed r. 1863 rys dosyć wydatny polityki tego odłamu opinii publicznej, którego przedstawiciele wówczas podjęli zadanie pracy organicznej. Patrzymy na tych ludzi i ich politykę przez pryzmat późniejszych wypadków, kiedy wpływy osobiste, nieprzewidywane okoliczności i usposobienie ogółu pchnęły ich na inną drogę. Przewodnicy tego stronnictwa, któremu później nadano nazwę »białych«, na kilka lat przed powstaniem wygłaszali zasadę, że dokonywane wówczas zmiany w ustroju wewnętrznym państwa rosyjskiego wytworzą pożądane dla narodu polskiego warunki rozwoju politycznego. Pomimo szczerzego, ale formalnego tylko patryotyzmu, byli oni w gruncie rzeczy lojalistami i jeżeli nie wstąpili na drogę kompromisu z rządem, to dlatego głównie, że wobec zasady bierności politycznej, było to niepotrzebnem. Ci sami ludzie wymyślili później niedorzeczną politykę »biernego oporu«, której wyznawcy stanowią obecnie jądro stronnictwa ugodowego. Następnie spadkobiercy wyżej wspomnianej zasady, na których czele stoi ostatni jej mohikanin »pnia zdruzgotanego spróchniały odłomek«, zmienili swoją taktykę i próbują pojednania z rządem, nie porzucając zresztą bierności politycznej, nie podejmując żadnej akcji, bo już ciż nie można nazwać działalnością zewnętrzną objawów lojalizmu i stania przy osobie monarchy — ma się rozumieć w dosyć znacznej odległości — w chwilach uroczystych, lub przedstawiania się mu na dworcach kolejowych.

Wprowadzenie do kraju naszego urządzeń publicznych, istniejących w Rosyi, i zrównanie Polaków w prawach z szczęśliwszymi poddanymi cara odpowiada w zupełności interesom osobistym tych ludzi i interesom klasowym zamożnej szlachty i zamożnego mieszczaństwa, a tej gawiedzi inteligentnej, która wysługuje się sztabowi ugodowców, otwiera widoki dostania się »do środka państwa« i zajmowania posad nietylko w służbie rządowej, ale i w instytucjach społecznych. Zachowanie odrębności narodowej jest potrzebą mas, ogółu, a my tak już przyzwyczailiśmy się oceniać sprawy publiczne z osobistego punktu widzenia, że nie rozumiemy dobrze, nie

możemy ani przedstawić sobie wyraźnie, ani odczuć żywo interesów ogółu. Ci więc przynajmniej, co świadomie lub bezwiednie je cenią, powinni zdawać sobie jasno sprawę z tego, że zapowiadane zmiany nie są wcale dla nas, jako dla narodu, korzystnymi, że nie ułatwiają, ale raczej utrudniają odzyskanie praw naszych, nie wytwarzają gruntu dla działalności politycznej, ale raczej osłabiają podstawę, na której opierać się powinna, bo ostatecznie znoszą naszą odrębność, i wprowadzają język i urządzenia rosyjskie do naszego życia zbiorowego.

Błąd dzisiejszej polityki ugodowej polega nietylko na tem, że ludzie ona społeczeństwo urojonemi korzyściami, ale i na tem, że mąci pojęcia ogółu, że krzyżuje kombinacje polityczne, do których z wielką trudnością, można powiedzieć z wielkiem poświęceniem przystosowaliśmy się powoli we wszystkich trzech zaborach. Można przypuścić nawet, że jest ona ślepem narzędziem zręcznie osnutej intrygi politycznej. Jeżeli, jak twierdzą ugodowcy, rząd rosyjski zamierza istotnie zrobić pewne ustępstwa, właściwie zmienić swoją politykę względem Polaków, to, ponieważ nie jest do zmiany tej zmuszony, robi to, co uważa w danej chwili za potrzebne. W takim zaś wypadku od postawy naszego społeczeństwa, od rozumu i zręczności tych ludzi, co politykę pojednawczą chcą prowadzić, w znacznej mierze byłoby zależnem uzyskanie tego rodzaju ustępstw, które istotnie dla narodowości naszej byłyby pożyteczne. To zaś, co mówimy, nie jest przypuszczeniem dowolnem, ani wytworem politykującej wyobraźni, bo jeżeli bardzo poważne pisma niemieckie dowodzą teraz właśnie, że ze względu na możliwe powikłanie stosunków narodowych, byłoby dla Niemiec niebezpiecznem drażnienie ludności polskiej, że nie jest rzeczą obojętną posiadanie w chwili stanowczej chociażby tylko sympatyj 15 milionów Polaków — to, wobec równowagi sił dwóch głównych ugrupowań politycznych w Europie, i dla rządu rosyjskiego zjednanie sobie lub zneutralizowanie dotychczas wrogiego żywiołu może być niewątpliwie pożądanem. Naturalnie, gdyby tak było, pragnąłby on w każdym razie załatwić tę sprawę jak najtaniej i najkorzystniej dla siebie, tymczasem ci, którzy wzięli na siebie przedstawicielstwo interesów narodu, tak są lekliwi i bezradni, że lękają się stawić żądań i nie wiedzą, czego żądać mogą, a tak samolubni i chciwi, że skwapliwie chwycą to, co im z łaski dadzą, byle tylko zysk swój w tem widzieli; wreszcie tak zarozumiali i niesumienni, że gotowi są dać za całe społeczeństwo zobowiązania, których ogromna większość nie przyjmie i postępowaniem swoim nie zatwierdzi. Kto wie, czy to właśnie nie jest przyczyną powściągliwości rządu rosyjskiego, bo zawód jaki przed paru laty sprawił rządowi niemieckiemu p. Kościelski, jest wymownym przykładem wartości zobowiązań ludzi i klik, nie mających żywej łączności z dążeniami politycznemi i uczuciami narodu.

ZNIEMCZENIE MIAST W KSIĘZTWIE CIESZYNSKIEM.

Kiedy przed wyborami ostatnimi Dr. Haase zwołał do Cieszyna mężów zaufania stronnictwa niemieckiego liberalnego, z Jabłonkowa przybył na zebranie prezes *polskiej* czytelnicy katolicko-ludowej; członkowie też owego towarzystwa, kierowanego przez księży, zamiast oddać swe głosy Polakowi Drowi Kreislowi, umówili się głosować na p. Zwillinga, kandydata *liberalnego* stron-

nictwa. Jeden z wikarych nawet zdzierał plakaty, zalecające Dra Kreisla, wiceprezesa »Związku śl. katolików«. Podobnie postępowali księża w Skoczowie.

Nic więc dziwnego, że przy takim uświadomieniu narodowem po miastach z liczby oddanych głosów w ks. Cieszyńskim na Niemców, liberałów lub narodowców, przypało 86,5%, na czesko-polskich posłów zaś 13,5%, w czym głosów polskich 6% i czeskich 7,5%. W poszczególnych okręgach wyborczych ilość głosów niemieckich tak się przedstawia: w Cieszynie 89% ogółu oddanych głosów, w Bielsku 100%, w okręgu Skoczów-Jabłonków-Strumień także prawie 100%, w miastach Frydek-Bogumin-Frysztat 57%, co bardziej jest zasługą Czechów frydeckich, aniżeli polskich mieszkańców Frysztata. Jeżeli sobie przypomnimy jeszcze, że w przedostatnich wyborach w r. 1890 kandydat narodowy w okręgu Skoczów-Jabłonków-Strumień otrzymał głosów 170, a obecnie Dr. Kreisel tylko 9, — to rezultat ten, w czasach, gdy wszystko wre naokół, gdy wszystko, co ma prawo do życia, pracą i walką prawo to zdobywa, — musimy uznać za dowód zupełnego zastoju, nawet cofania się, za objaw zupełnego braku sił w stronnictwie narodowem na Śląsku.

Czy powód tego upadku sprawy polskiej po miastach przypiszemy skierowaniu usiłowań stronnictwa narodowego wyłącznie na lud wiejski, czy też ogólnemu osłabieniu akcyi, jakie daje się zauważyć w czasach ostatnich, — faktem pozostaje niezbitym, że dla ludu polskiego po miastach nie uczyniono nic zgoła, że pozostawiono go samemu sobie, z czego też Niemcy wszelkich odcieni politycznych skorzystać nie omieszkali, niemcząc go usilnie za pomocą szkół, urzędów, kościoła itp. czynników, które do rozporządzenia mają.

Charakter niemiecki, znamionujący obecnie miasta księstwa cieszyńskiego przeważnie nadany im został w ciągu ostatnich lat trzydziestu. Wszystkie miasta śląskie, z wyjątkiem jednego Bielska *), około r. 1860 były niemal czysto polskie, nawet w Cieszynie żywił polski bodaj czy nie miał przewagi nad niemieckim w epoce pomiędzy r. 1850 a 1860. Takby można przypuszczać, jeśli się zważy, że w r. 1850 przy pierwszym autonomicznym wyborze obrano burmistrzem Polaka, Dra Ludwika Kluckiego, który był jednym z pierwszych budzieli ruchu narodowego, współpracownikiem Stalmacha, wydawcą *Gwiazdki Cieszyńskiej* w pierwszych latach jej istnienia, współzałożycielem i prezesem Czytelni ludowej itd. Był to człowiek ogólnie poważany, zarówno przez Niemców jak i Polaków; w r. 1848 był obrany komendantem gwardyi narodowej, a później przez lat wiele piastował godność komendanta strzelców miejskich, założył, będąc burmistrzem, kasę oszczędności, dom sierocy, itd. Synowie jego wszakże zupełnie się zniemczyli, zwłaszcza Sobiesław, parokrotnie wybierany posłem przez partya liberalną. Za czasów burmistrzostwa Kluckiego obie narodowości żyły z sobą w najlepszej zgodzie dopiero z objęciem zarządu miasta przez dra Johanna Demla, ojca obecnego burmistrza cieszyńskiego, germanizacya szerzyć zaczęła się w przyspieszonym tempie. Za Kluckiego wszelkie rozporządzenia władz miejskich, czy drukowane, czy też przy bębnie ogłaszane były w dwóch językach, polskim i niemieckim; gdy Demel nastał, zaczęto używać tylko języka niemieckiego. W czasie wojny prusko-austriackiej ludność polska użalała się, że

tylko wezwania o datki ogłaszane bywają po polsku, wszelkie zaś inne tylko po niemiecku.

W r. 1872 z inicjatywy Johanna Demla uczyniono zamach na straż ochotniczą ogniową, która do tego czasu była przeważnie z Polaków złożona. Narzucono jej komendę niemiecką pomimo, że za tą reformą z 90 członków głosowało tylko 36.

Pomiędzy rokiem 1850 a 1860 żywioł niemiecki podobno tak był jeszcze słaby, że np. przedstawienia amatorskie po niemiecku wcale się nie udawały, polskie zaś miały niezłe powodzenie. Teatr polski przybywał kilkakrotnie z Galicji lub Poznańskiego w latach 1863, 1868, 1879, wreszcie publicznie występował po raz ostatni w r. 1881. Polskie przedstawienia urządzano z powodzeniem nawet w niemieckim Bielsku, ale przed r. 1870. Potem agitacya antypolska tak wzrastała, germanizacya tak bielszczan nastrajała wrogo przeciw Polakom, że w r. 1890, gdy postawiono w Bielsku teatr, zawarowano w akcie erekcyjnym, że w nim *przedstawienie polskie bezwarunkowo nigdy odbyć się nie może*.

W szkolnictwie, które na Śląsku od czasów Józefa II, prowadzone było w duchu jawnie germanizacyjnym, dopuszczając jako wykładowy tylko język niemiecki, w epoce lat 1860—1863, a zatem jeszcze przed nadaniem konstytucyi dawało się zauważyć pewne zezelenie, językowi polskiemu robiono niejaki ustępstwa, więcej go i lepiej uczono, aniżeli przedtem; w gimnazjach cieszyńskich urządzono nawet 4 oddziały zamiast 3 dla języka polskiego. Lecz to nie trwało długo, a wzrost nadzwyczajny zaborczej szowinizmu niemieckiego, zwłaszcza od r. 1870, sprawił, że pomimo zagwarantowanych konstytucyą praw narodowych szkoły coraz silniej germanizowały młodzież. W r. 1887 zniesiono naukę języka polskiego w szkole miejskiej w Cieszynie.

W r. 1866 na wakujące miejsce pastora zboru cieszyńskiego wybrano olbrzymią większością głosów dobrego obywatela-Polaka, warszawianina, znakomitego kaznodzieję, dra Leopolda Otto, którego przymioty i zasługi na Śląsku też znane były. Z 919 głosujących dano na niego głosów 772. Niemiec Kotschy z Bystrzycy otrzymał wtedy zaledwie 101 głos. Gdy w dziesięć lat potem ks. Otto Cieszyn opuścił i odbywał się ponowny konkurs, narodowo usposobiona część ewangelików tak już była słabą, że nie zdołała przeprowadzić swego kandydata, ks. Badury, dobrego narodowca, lecz zwyciężył Niemiec liberał, znany obecnie szeroko ze swej polonofobii, dr. Teodor Haase.

Gdy ks. dr. Otto rozwijał w zborze i po za zborzem działalność w duchu polskim, która bądź co bądź dodatnie wspomnienia po sobie pozostawiła, z wyborem dra Haasego w zborze cieszyńskim rozpoczyna się wytężona robota germanizatorska, która ogromnie szaszkodziła sprawie polskiej na Śląsku cieszyńskim. Z kuźni dra Haasego, od roku 1882 zarazem superintendenta zborów morawsko-śląskich, wychodzą przeważnie wszystkie gromy, spadające na ludność polską. Ta kuźnia — w zborze cieszyńskim, »na Wyszniej Bronie«, jak się mówi w gwarze ludowej.

W roku bieżącym na wiosnę wśród narodowców ze zboru cieszyńskiego panowało radosne poruszenie z powodu jakoby zwycięstwa, odniesionego nad zwolennikami dra Haasego, na tej zasadzie, że do prezbyterstwa wybrano głównie jego przeciwników. Otóż, warto tu zapytać, z czego właściwie cieszyć się, jeśli dotychczas żadnych widomych śladów tego zwycięstwa nie widać. Jeśli narodowcy utrzymywaną przez zbor

*) Niemieckość Bielska jest daty bardzo dawnej, ponieważ jeszcze w w. XIII osiadła w jego okolicy ludność niemiecka po najściach Tatarów.

cieszyński *Hauptschule* zdołają odniemczyć, usuną pp. Wallacha et cons. i zaprowadzą wykład polski, wtedy może będzie podstawa do radowania się — dotychczas jej niema.

Wiadomo, że germanizacya, szerzona przez księży katolickich na Śląsku, na tem głównie się wspiera, że Śląsk podlega w rzeczach kościelnych biskupowi wrocławskiemu, że wobec tego sprawą niezmierniej doniosłości jest dążyć do oderwania księstwa cieszyńskiego od Wrocławia i przyłączenia go do dycezyi krakowskiej. Rozumiał to doskonale Stalmach i w piśmie też swoim często tę sprawę podnosił. Co prawda, to dawniej zajmowano się nią tak w sferach kościelnych, jak rządowych, dość pilnie, ale od r. 1881 cisza w tym względzie panuje zupełna. W r. 1868 w *Gwiazdce* pomieszczony był głos pewnego księdza katolickiego, domagający się »załatwienia tej sprawy zgodnie z życzeniami ludu, którego przedewszystkiem o zdanie zapytać należy«, a lud, jak z wielu danych sądzić można, byłby za przyłączeniem do Krakowa. Lecz większość księży, wychowanych w niemieckich szkołach, jest temu przeciwna, oprócz pewnej części narodowców. W r. 1881 w *Gwiazdce* ks. Świeży pomieścił nawet artykuł, tej sprawie poświęcony, w którym miał odwagę także oświadczyć się za dycezyą krakowską. Ale wystarczyło lat dziesięciu, aby ta odwaga gdzieś znikła, bo oto w r. 1892 wystosowano do biskupa wrocławskiego, dr. Koppa, adres, w którym podpisani księża oświadczyli się przeciwko przyłączeniu do Galicji t. j. do archidyecezyi krakowskiej. Miedzy podpisanymi figurują niemal wszyscy księża-narodowcy. Jest to fakt, który dowodzi, że na polskość kleru śląskiego liczyć nie można.

Jakże jednak dziwić się mamy księżom, rodowitym Ślązakom, przesiąkniętym kulturą niemiecką, jeśli inteligencya polska, prosto z Galicji przybywająca, po krótkim już pobycie na Śląsku niemiecką się staje. »Rzadko się zdarza — są słowa Ślązaka, patrioty polskiego — aby Galicyanin do nas przybyły był szczerym Polakiem. Oto Galicyanie, będący nawet przewodnikami ludności polskiej na Śląsku, mówią w domu po niemiecku; biorą sobie często żony Niemki, są zwykle gorliwsi Niemcami od samych Niemców«. Wogóle inteligencya galicyjska na Śląsku z małymi dość chlubnymi wyjątkami nieszczególną odgrywa rolę. Ale też i miejscowa, rdzenna śląska, nie lepszy daje przykład.

Przed majestatem niemieczyny wszyscy głowy uchylają, poczynając od prostaka-chłopa lub rzemieślnika a kończąc na przewodnikach narodowych, adwokatów, księżach, lekarzach, profesorach i urzędnikach. Germanizacya, nie spotykając oporu, idzie coraz szybszym krokiem.

Dziatwa polska po miastach śląskich, to wieczny wyrzut sumienia dla narodowców! W żadnym z miast niema szkoły polskiej, ba, niema takiej nawet, jakie już są wogóle po wsiach, gdzie przynajmniej w niższych klasach jest wykład częściowo polski. W szkołach miejskich od samego początku dziecko musi się naginać do nauki po niemiecku. Religia nawet wykładana jest tylko w języku niemieckim. Czy kierownicy ruchu narodowego zrobili cokolwiek, aby stosunki te zmienić? Nic absolutnie. Założenie gimnazjum polskiego jest, jak słusznie gdzieś nazwano, budowaniem od dachu. W Cieszynie należało rozpocząć od założenia szkoły ludowej. Jaka droga? Na podstawie istniejącej ustawy szkolnej, która zapewnia wykład w języku ojczystym dziatwie, jeśli tylko znajdzie się 40 takich ojców lub opiekunów, którzy o to wystąpić zechcą. A w Cieszynie jest rodzin

polских chyba nieco więcej, niż 40, bo połowa ludności (t. j. 8000) przynajmniej się w spisach urzędowych do języka polskiego. Ale niektórzy z narodowców mówią, że się starali o to, ale nie mogli znaleźć nawet 30 takich ojców, coby potrzebę szkoły polskiej rozumieli i odważyli się o nią pukać gdzie należy, bo na co to, mówią oni, przecież w Cieszynie jest polska szkoła przy zborze ewangelickim... Co to znaczy, wiemy już doskonale.

W Cieszynie do roku 1890 istniała księgarnia polska Jerzego Kotuli, założona w r. 1883 czy 1884; współcześnie była nawet druga także p. f. Karola Malika. Obecnie księgarni polskiej cały Śląsk cieszyński nie posiada. Polskie książki wydają firmy niemieckie i żydowskie, dobre na nich robiąc interesa. Redakcye gazet polskich kryją się po dziurach, tak, że ich znaleźć nie można; pisemka pastora Michejdy zamawia się w sklepie niemieckim Kutzera, gdzie po polsku trudno się rozmówić.

W r. 1861 przy zakładaniu kamienia węgielnego pod szkołę realną włożono tylko jedną gazetę, a była nią *Gwiazdka Cieszyńska*, bo niemieckiej gazety Cieszyńskie jeszcze nie posiadał. Dzisiaj w Cieszynie wychodzi codzień *Silesia*, trzy razy na tydzień *Neue Schlesische Presse*, od dwóch lat *Tieszinskié Noviny*, nowe pisma niemieckie i czeskie mnożą się coraz bardziej, — prasa polska stoi wciąż na jednym poziomie. W Cieszynie narodową *Gwiazdkę* wydaje towarzystwo nie polskie, lecz „*Katholischer Pressverein*!“ Prezesem Tow. pomocy naukowej jest ksiądz, który należy do członków założycieli prywatnego gimnazjum niemieckiego!

Stronnictwo narodowe na Śląsku od Polski otrzymało na ratowanie ludu od germanizacyi parę kroć sto tysięcy guldenów ofiar, z których 20.000 złr. leży na procentach bez pożytku niby na »Dom narodowy«, ale nikt dotąd na seryo nie pomyślał o założeniu drukarni polskiej, gdzieby tych kilka gazetek oraz tysiące książek odbijać było można za cenę o wiele niższą, aniżeli w drukarniach niemieckich, gdzie od druków polskich bajecznie wysoką opłatę ściągają. Ale za to znalazł się Czech, który chce drukarnię słowiańską otworzyć w Cieszynie i, otrzymawszy od rządu krajowego odmowę, rekuruje w tej sprawie do ministerium. Atakuje śmiało i stanowczo, bo doniesiono mu właśnie, że chcą udzielić koncesyi na drukarnię Niemcowi Handlowi, aby czeskiej nie dopuścić. Lew czeski bierze w opiekę sprawę polską; po biurach ministerjalnych chodzi, pomrukując i bijąc ogonem: koncesyą mieć musi na drukarnię czeską, która odbierze Niemcom kilkadziesiąt tysięcy guldenów zarobku, jakie biorą dotąd rocznie za druki polskie i czeskie.

Do roku 1893 istniały w Cieszynie napisy na rogach ulic polskie i niemieckie, mieliśmy zatem ulicę Prutkową i *Prutekgasse*, Stary Targ oraz *Alt Markt*, ulicę Głęboką i *Tiefgasse*, mieliśmy Przykopę i *Mühlgraben*, Wyższy Rynek i *Oberring*, ulicę Polską i *Polnischegasse* i t. d. W tym roku pamiętnym rada miejska uchwaliła polskie napisy usunąć i zawiesić tablice tylko niemieckie; przy obradach nad tą sprawą kupiec Bernatzik zauważył, że napisy polskie mogą być co najwyżej na wozach, wywożących śmiecie z miasta! Pomimo protestu podobno 100 obywateli uchwała weszła w życie, bo zapadła całkiem prawomocnie. Mamy więc teraz zamiast ulicy Polskiej *Deutschegasse*, bo »polskiej w mieście niemieckiem« być nie może, mamy zamiast Głębokiej *Erzh. Stephaniestrasse*, zamiast Brackiej krótką i mile brzmiącą *Dreibruderbrunnengasse*,

dalej *Kaiserin Elisabethgasse, Sachsenberg* zamiast Saskiej kępy i t. d.

Zaprowadzenie tablic wyłącznie niemieckich jestto zaledwie jedna z tysiąca różnych reform w tym gatunku, na które Niemcy w Cieszynie i w innych miastach sobie pozwalają. Można by o tem tomy pisać.

Narodowcy cieszyńscy umieją tylko wyrzekać na niegodziwość Niemców, ale do tego, żeby zapobiedz podobnym nadużyciom, nie widzą drogi. O tem, aby pozyskać jakieś wpływy w radzie miejskiej, zgola nie pomyśleli. W r. 1860 mieli jeszcze drobne mieszczanstwo całkiem polskie, nie tylko nie przyciągnęli go do ruchu narodowego, ale zrazili, odepchnęli i rzucili w objęcia Niemców. Posiadają w swoich rękach ogromną bibliotekę, powstałą z ofiar całej Polski, liczącą do 20.000 tomów, która mogła stać się znakomitą dźwignią do rozbudzenia ruchu umysłowego w kierunku narodowym, tymczasem nie tylko ogółowi i uczącej się młodzieży, ale nawet samym członkom Czytelni ludowej jest ona dotąd zupełnie nieprzystępna.

Ani kroku nie zrobiono w tym celu, aby mieszczkańskie sfery zainteresować sprawami narodowymi. Lud rolny, a właściwie posiadacze-rolnicy byli alfa i omega usiłowań wszelkich. Wszystkie towarzystwa narodowe tylko w tej warstwie, oraz między księżmi i inteligencją mają członków swoich.

Nawet taka »Macierz szkolna« niema wcale po miastach członków. Na 8000 ludności polskiej Cieszyna zaledwie dwadzieścia parę osób (z inteligencji) do »Macierzy« należy. Dla ludu miejskiego jestto coś całkiem obcego. Towarzystwa polityczne również o ludzie miejskim zapomniły. »Towarzystwo polityczno-ludowe« nie mogło go mieć wcale, bo i ludu rolnego nie miało także; »Związek katolików śląskich« w r. 1893, w dziesięć lat po zawiązaniu, ma w Cieszynie oprócz księży tylko siedmiu członków, w Skoczowie na 2000 przeszło ludności polskiej ani jednego członka.

»Związek« w r. 1888 stawiał kandydatów swoich do cieszyńskiej rady miejskiej, ale czy to byli Polacy, wątpimy. Rada miejska — to inteligencja wyższa i grube ryby przemysłowe przede wszystkim; inne żywioły słabo reprezentowane, zresztą bez głosu i znaczenia. Zainteresowanie podczas wyborów do rady nie nazbyt wielkie — *Spießbürgery* cieszyńscy nigdy nie okazali zbyt wielkiego zapału do spraw publicznych — łatwo jednak zauważyć, że u dołu jest ono o wiele mniejsze, niż u góry. U dołu Polacy, u góry sfery zamożniejsze, niemieckie.

W r. 1885 przy wyborach do rady cieszyńskiej na 972 uprawnionych do głosowania z III koła zjawilo się tylko 191 czyli 19·6%. Z II koła na 110 uprawnionych dało głos 58 czyli 52·7%, z I koła na 131 uprawnionych głosowało 80 czyli 61%. To samo dzieje się w innych miastach.

Z wielką słusznością można wnosić, że z 80% wyborców koła III, którzy w Cieszynie stale nie głosują, przynajmniej połowa, jeśli nie więcej, to jest jakieś 400 używa w domu języka polskiego, druga zaś połowa posługuje się obu językami. Dowodzi to, że ludność czysto polska i częściowo zniemczona, ale dotąd niezupełnie jeszcze stracona, wyborami się wcale nie interesuje. I nic dziwnego! Czyż bowiem zachęcał ją kto do tego? Nikt tego nie próbował nawet.

Wobec takiego zajęcia się narodowców ludnością miast, jakże nazwać to, że próbują stawiać własnych kandydatów z kurii miejskiej do sejmiku i rady państwa. Niekonsekwencja ta srogo się na nich mści. Kreisel

w r. b. otrzymuje głosów 9; a Michejda w r. 1892 przy wyborach do rady państwa w polsko-czeskim Boguminie na 63 głosujących dostaje 3 głosy, zaś w czysto-polskim Fryszacie na 222 głosujących aż 8 głosów!

Cyfry te wskazują najlepiej, jakim powinien być program stronnictwa narodowego na przyszłość. Należy zmienić taktykę, należy przede wszystkim zająć się energicznie oświatą ludu miejskiego i politycznem jego uświadomieniem. Niwa to dotychczas zupełnie nietknięta. Tysiące ludu czysto polskiego jeszcze są w miastach, a przy pracy pewnej i to, co już za stracone się uważa, można jeszcze odzyskać.

Droga do tego prosta. Trzeba rozbudzić przede wszystkim czytelnictwo — do tego jest »Czytelnia ludowa« w Cieszynie i »Wypożyczalnia bezpłatna Związku śl. katolików« tamże. Trzeba ratować działwę: założyć należy ochronkę i szkołę ludową (uchwały zgromadzeń Macierzy szkolnej dotąd nie wykonane). Trzeba otworzyć w Cieszynie księgarnię polską i drukarnię oraz radykalnie zreformować prasę miejscową. Trzeba wciągać ludność miejską do towarzystw narodowych, rozbudzić wśród niej ruch i życie. Zająć się wyborami do rad miejskich i starać się wprowadzić do nich żywioły polskie. To osiągnąwszy, można wtedy i o wielu trudniejszych zadaniach pomyśleć.

Żeby jednak program ten w czyn wcielić, trzeba zaniechać polityki samolubstwa, koteryjnych interesów i waśni wyznaniowych; nie wyrzekać na straszne stonunki, a wzięć się do roboty; na Czechów nie wymyślać, tylko ich w energii i systemie działalności naśladować; na pomoc pieniężną od Polski nie oglądać się, lecz rozumnie użytkować z tych zasobów, jakie się już posiada.

Piastun.

LISTY WARSZAWIAKA Z GALICYI.

I.

Warszawiacy i Galicya. Rozwój moich pojęć o tym kraju. Pierwszy przyjazd do Galicyi i pierwsze wrażenia.

.... Powiadasz, kochany przyjacielu, że wiedząc dużo o Galicyi, nie rozumiesz jej wcale, boś nigdy w niej nie był, i stosunkom jej własnymi oczyma się nie przyglądał. Pociesz się, że ci z naszych braci z Kongresówki, co bywają tu często, także o stosunkach galicyjskich pojęcia nie mają. Kraj to zbyt nam bliski, ażebyśmy na chłodno mogli robić w nim spostrzeżenia i bezstronnie o jego stosunkach sądzić, jednocześnie zaś zbyt daleki swym ustrojem, swym typem życia, ażeby łatwo nam było zdawać sobie sprawę z tego, co tu widzimy. Sądy nasze o życiu podkarpackiej dzielnicy przedstawiają ogromną rozmaitość. Poczynając od ludzi, którzy widzą w Galicyi niepodległą niemal Polskę współczesną i wszechstronny rozwój narodowy w całej pełni, a kończąc na takich, którzy ją uważają za czarną plamę na mapie Polski, spotyka się bardzo skądinąd rozumnych ludzi, którzy o tym kraju wielkie głupstwa plotą. Pomimo to trzeba przyznać, iż zajmujemy się Galicyą dużo, o wiele więcej, niż jej mieszkańcy nami.

Chcesz, żebym ci napisał, co o Galicyi myślę. Nie sądzę, że to tak łatwo. Trzebaby przede wszystkim wiedzieć, co ty sam o niej myślisz, żeby, jak najmniej czasu tracąc, powybijać ci z głowy rozmaite ówieki, jakimi gorliwie ozdabiałeś ją przez długie lata. Z własnego doświadczenia, poczynając od lat najmłodszych, wiem, jak się urabiają nasze pojęcia o zakordonowych rodakach.

Kiedym był dwunastoletnim chłopcem — w tym bowiem mniej więcej wieku zacząłem mieć przekonania i poglądy polityczne — wyobrażałem sobie Galicję, jako kraj, w którym wszyscy chodzą w kontuszach, gdzie na wszystkich wydatniejszych miejscach powieszane są białe orły na czerwonym polu, a ludziska przy każdej sposobności śpiewają: »Jeszcze Polska nie zginęła...« Biednemu uczniakowi drugiej klasy, którego za jedno słowo polskie do kozy sadzano, marzyła się szczęśliwa kraina, w której ludzie używają bez miary wszystkiego, co u nas jest zakazane.

W krótkim czasie, w miarę rozwoju sił umysłowych, naiwny ten pogląd, świadczący bądź co bądź o mej niedojrzałości politycznej, ustąpił miejsca innemu, mniej kompromitującemu mą zdolność do zajmowania się sprawami publicznymi. Wtedy przedstawiałem sobie, że w Galicji polskość znajduje się na szczycie rozkwitu, że tam ludzie mówią piękną, klasyczną polszczyzną, że w duszy piastują wszyscy najszerze aspiracje narodowe, a co najważniejsza, że specjalnie zajmują się nami, bolejąc nad tem, że cierpimy straszny ucisk, gotowi w każdym razie do przyjscia nam z pomocą. Marzyłem wtedy o tem, żeby się wydostać kiedy za kordon, przedstawiając sobie, jak to wzdłuż całej granicy czatują poczciwi Galicyanie, każdego rodaka z pod moskiewskiego panowania chwytają w objęcia i ścisną czule, rozpytując o nowe fakty moskiewskiego barbarzyństwa. W bujnej wyobraźni piętnastoletniego polityka widziałem wzruszającą scenę, jak, wydostawszy się z pod opieki Apuchtina, przebywam granicę i stoję przed braćmi galicyjskimi, jako męczennik, broniący sprawy narodowej wobec inspektorów i nauczycieli popowiczów, prześladowany koźą i złymi stopniami z języka rosyjskiego, jak mię tam witają ze współczuciem i wdzięcznością dla nas wszystkich za to, że się nie dajemy. A ja im powiadam: »Nie bójcie się bracia, trzymamy się mocno i będziemy się trzymali!...«

Był to postęp w poglądach, daleki wszakże od dojrzałej trzeźwości, do której my w zaborze rosyjskim dochodzimy w ogóle bardzo późno, a najczęściej nie dochodzimy wcale. Ileż to razy później zdarzało mi się widzieć warszawiaka, przyjeżdżającego do Galicji, zdziwionego, że ludzie tu nie zajmują się wyłącznie nim i sprawami zakordonowemi, zdającego się nie rozumieć, że Galicja ma swoje sprawy miejscowe, że obowiązkiem jej mieszkańców musi być przedewszystkiem praca na miejscu dla ogólnego narodowego dobra.

Różowo tedy i nietrzeźwo śniłem o Galicji. Powoli wszakże sny te zaczęły ulegać zakłóceniu, zjawiać się zaczęły złowrogie mary, psujące mój piękny, wyśniony obraz. Od ludzi starszych usłyszałem rzeczy smutne. W towarzystwie przymiotnika »galicyjski« obili się o moje uszy rzeczowniki, wcale niemile brzmiące: usłyszałem o nędzy galicyjskiej, o podatkach, o ciemnocie, o żydach galicyjskich... Dowiedziałem się, że ludzie starsi i praktyczniejsi ode mnie mają o Galicji pojęcie wcale niewesołe. Do jasnego obrazu krainy, w której »Polakom wszystko wolno«, zaczęły się wkradać szare i ciemne tony, psujące z początku całość, a w następstwie zmieniające zupełnie jej charakter.

Niebawem przyszedł na mnie czas zmiany poglądu na świat i stanowiska w ocenie stosunków społecznych. Zostałem młodzieńcem postępowym i wiadomości swoje zacząłem czerpać z warszawskich tygodników, przewracających do góry nogami wszystko, co do owego czasu ludzie sobie w głowach poukładali. Tu już był koniec mej idylli galicyjskiej. Z miarodajnych organów dowie-

działem się, że Galicja jest zbiorownikiem wszystkich chorób, trapiących polskie społeczeństwo, w którym grasuje na całej przestrzeni nędza, wyzysk, ciemnota, lenistwo, ucisk, wsteczność wszelkiego rodzaju, przyczem ze wszystkiego, com czytał, wolno mi było się domyslać, iż zło właśnie ztąd pochodzi, że Polacy tu mają władzę, że najgorszym, najbardziej wstecznym żywiołem w tym kraju jest żywioł polski, że jeżeli spotykamy się tu z objawami postępowymi, to tylko wśród Rusinów albo... Żydów. Moi mistrzowie konsekwentnie wyrabiali we mnie uczucie skromności, przekonanie, że niema na świecie marniejszego narodu od Polaków.

W takich pojęciach przetrwałem dosyć długo. Dziś, gdy już dawno pożegnałem się z niemi na zawsze, jakże często się przekonuję, że z tej propagandy poniżania siebie samych wiele, bardzo wiele w mózgach ludzkich pozostało.

Kiedy, ukończywszy uniwersytet i stawszy się wolnym obywatelem — o ile nim poddany cara Wszechrosyi być może — robiłem przygotowania do pierwszego wyjazdu za kordon i usiłowałem przedstawić sobie w wyobraźni to, co na własne oczy w Galicji zobaczę, przekonałem się, że próbuję rzeczy niemożliwej, że w pojęciach moich o austriackiej Polsce panuje zupełny chaos. Faktów miałem w głowie moc niezliczoną, ale wszystko to w żadną całość nie chciało się skleić. W przeddzień wyjazdu odżyły wszystkie dawne, najbardziej nawet naiwne wyobrażenia i, nie przyznając się do tego przed sobą, potrosze oczekiwałem wszystkiego, co sobie kiedykolwiek wymarzyłem. Widziałem z tem wszystkiem, że jadę do Galicji, jak Kolumb do Ameryki, że mam na końcu mej drogi prawdziwą *terra incognita*...

Kiedy żandarm w Granicy zwrócił mi paszport i drzwiczki wagonu zatrzasnął, kiedy pociąg z miejsca ruszył, opanowało mną uczucie, znane pewnie wszystkim mieszkańcom zaboru rosyjskiego, wyjeżdżającym po raz pierwszy za granicę, uczucie ulgi, wywołane brakiem bata, który tam ciągle nad karkiem wisiał i każdej chwili mógł po plecach liźnąć. Uczucie to mieszało się z ogromną ciekawością, teraz bowiem obchodziło mię wyłącznie to, co za chwilę zobaczę...

Zapomniałem naraz wszystko, czegom się naczytał o czarnych stronach życia galicyjskiego, a natomiast zajęty byłem wyłącznie myślą o tem, jak wygląda kraj, w którym istnieją jakieś prawa obywatelskie, zawrowane konstytucją, gdzie polskość nie jest prześladowana, gdzie jest się niezależnym od łaski pierwszego lepszego policyanta, gdzie rodacy moi mają prawo wiele robić i więcej jeszcze mówić. Człowiek myśli przede wszystkim o tem, czego mu brak — to rzecz zrozumiała.

Pociąg posuwał się wolno, jakby obawiając się zbyt pośpieszną ucieczką wzbudzić podejrzenia w żandarmach i strażnikach rosyjskich, którzyby go mogli jeszcze zatrzymać i cofnąć z drogi. Spojrzałem na siedzącego naprzeciw mnie towarzysza podróży. Ten, przybrudny nieco izraelita — było to w trzeciej klasie — poprawił się też z widocznym uczuciem ulgi na siedzeniu, podniósł rękę do ucha i lekkim a wdzięcznym ruchem zakreślił w powietrzu linię spiralną. Pod wpływem magicznego ruchu ukazał się na boku twarzy długi z włosów grzajcarek. Druga ręka wykonała ten sam rzut zręczny — i z drugiej strony ukazał się symetrycznie taki sam grzajcarek. Miałem przed oczyma tak zwane pospolicie »pejsy«. Postać ich nasunęła mi na myśl »paragrafy« i zrozumiałem, że mam już do czynienia z austriacką konstytucją.

Mysł moja przeniosła się do dawnych lat dziecięcych, i przypominałem sobie, jak to policyjanci uganiali się po mieście za podobnymi do mego towarzysza obywatelami i schwytanymi prowadzili do cyrkułu, gdzie im brutalnie takie paragrafy »obcinano«.

Spojrzałem na inne twarze — wszystkie już miały równie konstytucyjny wygląd. Jechałem wśród samych prawie izraelitów. Nie spostrzegłem tego z początku, bo w przedziale panowała niezwykła w takich razach cisza. Dopiero gdy pociąg, znalazłszy się na wolnej ziemi... austriackiej, oddalił się na przyzwoitą odległość od granicy i od brzydko patrzących żandarmów, cisza przeszła z początku w lekki szmer, wzmacniający się stopniowo, aż w końcu w całym przedziale zapanował hałaśliwy szwargot, znany po obu stronach kordonu.

Hałas ten mógłby najzapamiętalszego marzyciela ściągnąć z obłoków na ziemię, a najniepoprawniejszego optymistę usposobić czarno. To też mój uroczysty nastrój, z jakim zabierałem się wjechać do »wolnej« dzielnicy polskiej, od razu dyabli wzięli. Złość mię ogarnęła, a chałatowi towarzysze podróży, wężąc widocznie, z jakim uczuciem na nich patrzę, nic sobie ze mnie nie robili, ale, owszem, odpowiadali mi zuchwałemi, pewnemi siebie spojrzeniami. Miałem ochotę krzyknąć: »Cicho, żydy!« — ale z twarzy tych tak patrzyła konstytucya i poczucie swego prawa do szwargotania, że wystąpienie podobne wydało mi się największą niewłaściwością, i zachowałem się biernie.

Nareszcie pociąg zwolnił biegu i usłyszałem okrzyk: »Szczakowa!« z nieznosnym akcentem na pierwszej zgłosce. Minąwszy celnika, który pieszczotliwym głosem poprosił mię o zdeklarowanie herbaty lub tytoniu, patrząc jednocześnie tak, jakby mi do wnętrza żołądka chciał zajrzeć, wszedłem do bufetu, i tu — osłupiałem — posługacz przywitał mię... po niemiecku. Kiedy po polsku zażądał, już nie pamiętam, czego, młody ten izraelita spojrzeniem mi powiedział, iż uważa mię za cudzoziemca, i przemówił do mnie tak podłą polszczyzną, że, gdyby nie silna wola, sam wziąłbym się za cudzoziemca w niemieckim kraju.

Przy jednym stoliku siedziało kilku panów w mundurach, urzędników celnych i kolejowych, jak się domyśliłem — rozmawiali także po niemiecku. Zrobiło mi się głupio...

Później dowiedziałem się, że to właśnie ten kąt Galicyi, z linią kolei Ferdynanda, która jakoś nie daje się upaństwowić, ma szczególny przywilej na niemieczność, z tem widocznie przeznaczeniem, ażeby nie przeszkadzała Niemczyźnie sąsiedniego Śląska pruskiego i uspasabiała mile przejeżdżających tędy mieszkańców Królestwa. Wtedy nic o tem nie wiedziałem, to zaś było dla mnie faktem, że na wstępie do polskiego kraju, pozostającego pod polskim zarządem, słyszę naokoło mowę Bismarcka, bądź w czystości literackiej, bądź w rozmaitych stopniach zbliżenia do popularnego żargonu żydowskiego. Muszę się wszakże pochwalić, że z tych pierwszych spostrzeżeń nie wyciągał żadnych pośpiesznych wniosków i że postanowił czekać cierpliwie Krakowa. Wylądowałem też w Krakowie bez żadnych czarnych uprzedzeń, pomimo że po drodze ciągle niemieczna i szwargot brzmiały i że na wstępie do miasta przygniotła mię wyniosła postać kolejowego szwajcara, mogąca służyć za wspaniałe uosobienie kulturtregerskiego: „*Eppur si muove!*“...

Niepodobna mi tu zdać sprawy z pierwszych wrażeń w Krakowie. Zanadto w starej stolicy panuje wielka przeszłość, ażeby można było należycie nad małą teraźniejszością się zastanawiać.

Zabawiłem wówczas w Galicyi dwa tygodnie. Byłem w Krakowie i we Lwowie; poznałem osobiście trochę ludzi, słuchałem w kościele kazania, w sali uniwersyteckiej — wykładu, a w sali sądowej — rozprawy karnej, przesiedziałem parę godzin na galerii sejmowej, byłem na posiedzeniu kółka akademickiego, przesiadywałem w kawiarniach, piwiarniach, kuchniach studenckich — wszędzie, gdzie mogłem na ludzi patrzeć. Wyjechałem, nie urobiwszy sobie określonego, najogólniejszego nawet pojęcia o kraju, ale z wrażeniami smutnemi, nasuwającemi częstokroć bardzo niepożądane refleksye.

Wiele rzeczy raziło mię w sposób bardzo przykry — poczynając od twarzy ludzkich, a kończąc na mowie i obyczajach.

Bardzo mało spotkałem twarzy inteligentnych, rasowych, ze śladami długiej kultury; w fizyognomiach młodzieży raził jakiś brak swobody, w obliczach ludzi starszych — brak tego moralnego spokoju, który od razu budzi zaufanie. W mowie słyszałem mnóstwo naleciałości niemieckich, prowincjonalizmów, wydawała mi się nieraz w ustach ludzi wykształconych jakaś twarda, niewyrobiona, gminna. Prokurator, przemawiający na rozprawie, zrobił na mnie wrażenie łyka, a niewiele więcej zbudował mię język w wykładzie profesora. Do rozpaczki doprowadzało mię: »całuję rączki« i »padam do nóg«, a sposób ubierania się, noszenia zarostu, etykieta towarzyska po wykwintnej Warszawie sprawiały, że za dużo ludzi wyglądało mi na kelnerów, pisarzy powentowych lub dymisyonowanych woźnych biur rządowych.

W postępowaniu z ludźmi czułem jakiś brak zaufania, a przy dotykaniu spraw szerszego znaczenia — jakąś jakby obawę, czego tu po za granicami panowania moskiewskiego bata nigdy się nie spodziewałem. Obok wąskości poglądów u ludzi niby wykształconych, zauważyłem uderzający brak wiadomości, które przywykłem uważać za bardzo rozpowszechnione. Do żywego wreszcie dotknęła mię spotykana na każdym kroku obojętność na nasze sprawy zakordonowe i całkowita ich nieznajomość.

Obok tego wszystkiego ubóstwo, niska stopa życiowa, traktowanie częstokroć guldena, jako niezwykłego zjawiska...

Oto obraz, jaki zdołałem sobie w ciągu dwu tygodni mimowoli wymalować, aczkolwiek rozumiałem, że Galicya pozostała dla mnie takim samym nieznanym krajem, jakim była przed owym pierwszym pobytem. Doświadczenie przekonało mię, że nie byłem wyjątkiem, że z podobnemi wrażeniami niejednen warszawiak Galicyę opuścił. Tylko gdy jedni przy tem wszystkim przyznawali się do nieznajomości stosunków, inni, spojrzawszy na nie z okien wagonu, od razu sąd wydawali i ferowali wyrok na nieszczęsnych braci z pod austriackiej batuty (w odróżnieniu od moskiewskiego bata).

My, warszawiacy, w ogóle jesteście *esprits forts*: rzucimy na coś okiem i więcej nam nie potrzeba. Swoimi też sądami o Galicyi doprowadziliśmy do tego, że mieszkańcy jej boją się nas, jak ognia, przyjmują nas z nieufnością, a uprzejmiejsi przy spotkaniu z nami sami zaczynają na siebie wymyślać i wygadywać nie stworzone rzeczy.

Tymczasem, gdybyśmy bliżej tę dzielnicę poznawali i sądy swe wypowiadali nieco ogólniej, moglibyśmy być dla Galicyi wcale pożytecznymi i sami dużo, bardzo dużo skorzystać. Jest to jedna z najsmutniejszych rzeczy w dzisiejszem naszym położeniu, że tak bliscy siebie tak mało się znamy.

Dziś, gdy od pewnego czasu na stosunki galicyjskie zbliska patrzę i zdaje mi się, że niektóre rzeczy w nich rozumiem, jestem przekonany, że przez to samo rozumiem lepiej i życie naszej dzielnicy po tamtej stronie kordonu.

R. Skrzycki.

Z CAŁEJ POLSKI.

Wybory do Rad powiatowych. Zdanie *Kraju* o ruchu ludowym i polityce zachowawców. *Medice cura te ipsum*. Protest uczniów w gimnazjum mitawskim. Sprawy zachodnio-pruskie.

Wybory do Rad powiatowych, dokonane w ubiegłym tygodniu w 30 powiatach, były świetnym zwycięstwem stronnictwa ludowego. W całej prawie Galicyi zachodniej i nawet w jednym powiecie wschodniogalicyskim przeszły, zwykle ogromną większością, listy kandydatów tego stronnictwa, niemal wyłącznie włościan. Ten ostatni fakt starano się przedstawić jako dowód szkodliwej kastowości ruchu ludowego. Jest to zarzut niesłuszny, bo chociaż włościanie nie bardzo dowierzają inteligencji i mają do tego dosyć uzasadnione powody, wybieraliby z pewnością obok swoich i ludzi wykształconych, gdyby stronnictwo znaleźć mogło między nimi dostateczną liczbę kandydatów odpowiednich. Ruch rozwinął się bardzo niedawno, pogarnęły się do niego przeważnie siły młode, zorganizowało go i kieruje nim dotychczas szczupłe grono ludzi i dopiero w ostatnich czasach stronnictwo zdobywać zaczyna coraz więcej zwolenników w warstwie inteligentnej. Stronnictwo tak szybko idzie naprzód i wpływ swój rozszerza, że brak sił inteligentnych, zdolnych nie tylko do wyrażania sympatii, ale i do czynnego udziału w życiu politycznym, może stać się szkopułem w prawidłowym rozwoju ruchu ludowego. Wybory do Rad powiatowych są nieomylną wskazówką rezultatu wyborów przyszłorocznych do Rady państwa w kuryi czwartej. Kto wie, czy stronnictwo znajdzie kandydatów odpowiednich do ubiegania się o te wszystkie mandaty w kuryi czwartej i piątej, które niewątpliwie zdobyć by mogło, czy nie będzie zmuszonem popierać ludzi, należących do innych obozów i tylko przychylnych dla ruchu ludowego.

Tych ostatnich dziś już znalazłoby się dosyć. Zastępuje na uwagę fakt znamieny, że przed wyborami dwóch posłów do sejmu z miasta Lwowa, prawie wszyscy kandydaci w swoich wyznaniach wiary przyznawali się do sympatii dla ruchu ludowego, niektórzy niemal zupełnie się z nim solidaryzowali, chociaż jeden z nich tylko p. Rewakowicz należy do stronnictwa, inni zaś oświadczyli, że wstąpią do t. zw. klubu demokratycznego (lewica sejmowa). Jednocześnie tego faktu ze zwycięstwem wyborczem w powiatach świadczy, że ruch ludowy rozszerza zakres swych wpływów nie tylko w sferze bezpośredniej działalności politycznej wśród mas, ale i w opinii publicznej warstwy inteligentnej.

Z odległości widać lepiej, drzewa nie zasłaniają lasu, i kiedy zachowawcy galicyjscy nie zdają sobie jeszcze dobrze sprawy z niebezpieczeństwa, grożącego im bezpośrednio, pokrewny im duchem *Kraj* petersburski dostrzega wyraźnie »olbrzymi w rozmiarach a nieobliczony w skutkach ruch ludowy, który już na parę miesięcy przed wyborami zaczyna przysięgać sobie całe Koło polskie«.

Pismo petersburskie zaznacza, że »nie można go posądzać chyba o brak szczerzej, gorącej sympatii dla tej trzeźwej, rozumnej polityki, której Galicya tyle za-

wdzięcza, a która w gronie polityków krakowskich znalazła przedstawicieli, mających odwagę przyznawać się głośno do swoich przekonań i wysnuwać z nich nieuniknione konsekwencje«. Chciałby *Kraj* rozruszać swoich sojuszników politycznych, tenąć w nich nowe życie, zdaje się jednak, że sam wątpi, czy jakiegokolwiek środki będą skuteczne na ten uwiad starczy. Każdy program polityczny, jeżeli nie ma łączności między jego myślą przewodnią i masami, dźwigającymi się z uspienia, musi zbankrutować. »Upragnionego tego związku nie wytworzy interwencja policyi, lub żandarmów. Wytworzą go tylko ludzie, którzy powiedzą sobie to, co już zrozumiwały wszystkie wielkie stronnictwa na Zachodzie, a mianowicie, że kto nie umie trafić do przekonania szerokim warstwom, kto lęka się zetknięcia z niemi, kto nie wierzy w możność porozumienia, ten musi pisać testament polityczny, bo w wieku XX miejsca dla niego nie będzie.«

Te rozumne uwagi można byłoby zastosować z równą słusznością i do tej polityki, którą *Kraj* popiera w zaborze rosyjskim i do tych sfer, które ją prowadzą i do tego programu, którego myśl przewodnia żadnej nie ma łączności z budzącymi się z uspienia masami. Temu, kto, jak *Kraj*, chociażby mimowolnie lub dla interesu osobistego, budził nieraz w społeczeństwie uspięne poczucie narodowe, tymbardziej zaś tym — są między ugodowcami dzisiejszymi i tacy — co w masie ludowej rozżarzyć usiłowali iskry świadomości państwowości i zrozumenia praw obywatelskich — »nie wolno przestraszyć się swego własnego czynu i widzieć w rozbudzonem życiu tylko wielkie nieszczęście«. Bo kto nie umie trafić do przekonania nie tylko masom ludności, ale nawet ogółowi warstwy inteligentnej, kto niedowierza wszelkiej zbiorowej działalności i lęka się jej objawów, kto sprowadza wielką sprawę narodową do zabiegów i starań w przedpokojach, salonach i kancelaryach — »ten niech pisze testament polityczny« nawet przed nastąpieniem XX wieku.

Zdarza się czasem, że poważnym politykom naszym i mężom stanu dają dobrą naukę i nawet wzór do naśladowania maluczy, w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Do gimnazjum w Mitawie uczęszcza sporo młodzieży polskiej i litewskiej. Zaczął się ten napływ młodzieży z Litwy i Królestwa, kiedy jeszcze gimnazjum było niemieckiem, ale nie ustaje i teraz, bo w szkołach średnich w kraju bardzo trudno nieraz umieścić dziecko. Według dawnego zwyczaju uczniowie wszystkich klas wspólnie odmawiali modlitwę przed lekcjami: prawosławni z popem po rosyjsku, protestanci z pastorem — po niemiecku, a katolicy z księdzem po łacinie. Niedawno władza szkolna wydała rozporządzenie, żeby uczniowie katolicy odmawiali modlitwę po rosyjsku, ale ksiądz oparł się temu stanowczo. Wówczas dyrektor kazał zgromadzić się uczniom katolikom w sali gimnazyalnej, wybrał jednego z nich, chłopca z trzeciej klasy, i polecił mu przeczytać modlitwę po rosyjsku. Chłopiec nie chciał tego uczynić, za co wydalono go natychmiast ze szkoły. Nazajutrz, kiedy nauczyciel Miecznikowski, Polak, z rozkazu dyrektora zaczął czytać modlitwę w języku rosyjskim wobec uczniów, ci zawołali jednogłośnie, że po rosyjsku modlić się nie będą. Dyrektor, wściekły z gniewu, przyskakiwał do uczniów i każdego chciał pytać z osobna, czy po rosyjsku modlić się będzie. W odpowiedzi wszyscy uczniowie katolicy, w liczbie 125, chwycili za czapki i wyszli z sali. Władza szkolna postanowiła sprowadzić księdza, żeby uczniów uspokoił, a gdy ksiądz odrzucił

rolę pośrednika, zatelegrafowała do Petersburga. Jaka odpowiedź przyszła — niewiadomo, ale gimnazjum nie zamknięto i uczniowie obecnie wcale modlitwy nie odmawiają.

Ten stanowczy opór dzieci rumieńcem wstydu powinien pokryć czoła ich ojców, którzy przez trzydzieści lat z górą kornie poddawali się wszelkim środkom rasyfikacyjnym i nie rozumieli, a raczej nie chcieli i bali się zrozumieć, że w obec opozycji wytrwałej i jednomyślnej nawet władza rosyjska jest bezsilną i ustąpić by jej musiała, jak ustąpiła tej gromadce uczniów. Coby poradziła władza administracyjna, gdyby nikt na Litwie nie słuchał zakazu mówienia po polsku w miejscach publicznych, a nawet gdyby znaczna większość społeczeństwa nie stosowała się do tego zakazu? Coby zrobiły urzędy rosyjskie w Warszawie i wogóle w Królestwie, gdyby większość interesantów zwracała się do nich po polsku? Kiedy wprowadzano język rosyjski do uniwersytetu warszawskiego, i w dodatku wprowadzano bezprawnie, jeden z profesorów Polaków zaprojektował, żeby wszyscy oświadczyli, że się nie zgadzają i podali się do dymisji. Zakrzyczeli go wówczas inni, że trzeba ratować uniwersytet i za wszelką cenę pozostać na stanowisku, bo czasy zmienić się mogą. Istotnie zmieniły się, bo po kolei wszystkich prawie Polaków usunięto; tchórzostwo ich ocaliło uniwersytet rosyjski, gniazdo urzędowej propagandy rasyfikacyjnej. Dobrowolne poniżenie się i upodlenie jest niewątpliwie w podobnych wypadkach poświęceniem dla dobra ogółu, zwykle fałszywie pojmanego. Ale zanadto jesteśmy do takich właśnie poświęceń skłonni, natomiast nie praktykujemy łatwiejszych dla ludzi uczciwych, które wymagają tylko zachowania godności ludzkiej i narodowej. Zmienia się kiedyś, bo zmienić się muszą warunki naszego bytu i wtedy najsmutniejszym wspomnieniem okresu przymusowej rasyfikacji będą nie przesładowania, których doznawaliśmy, ale brak faktów zbiorowego oporu. Lud znajdzie w świeżej przeszłości swojej takie czyny, nawet opromienione aureolą męczeństwa, o których wieści rozchodziły się po całej Polsce, lecz inteligencja nie przytoczy ani jednego, któryby dowodził, że ona przechowywała w tej smutnej epoce świadomość narodową. Pojedyncze przykłady osobistego poświęcenia lub nawet bohaterstwa zdarzały się wprawdzie niekiedy, nie mają one jednak tego znaczenia politycznego, jakie miałyby wytrwała i konsekwentna obrona praw narodowych. Wszyscy jesteśmy winni, nie ma bodaj jednego człowieka między nami, któryby nie zgrzeszył lekkością, nieśmiałością lub obojętnością, ale ta powszechność i wspólność winy nie zdejmuje z nas odpowiedzialności moralnej i dla tego właśnie, że spada bez wyjątku na cały ogół, jest znamienym objawem naszego upadku politycznego, czyli raczej upadku moralnego tych warstw społecznych, które nie wyrzekły się uroszczeń do przewodnictwa w życiu politycznym narodu.

Sprawa sprzedaży Topolna, o której pisaliśmy w numerze poprzednim, dała powód gazetom zachodniopruskim do nieuzasadnionych napaści na Bank ziemski i do podejrzeń niesłusznych, a nietylko dla instytucji, ale i dla sprawy ogólnej szkodliwych. Niewątpliwie majątek ten był bardzo ważnym posterunkiem w powiecie świeckim i należało go ratować, ale również wątpliwości nie ulega, że Bank ziemski nie mógł tego uczynić. Coraz trudniejszym staje się uzyskiwanie pozwolenia władzy na kolonizację, w najlepszym razie długo

trzeba czekać na takie pozwolenie, tymczasem na ratowanie Topolna musiałby Bank wyłożyć połowę świeżo podpisanego kapitału, a prawie całą kwotę zebranej gotówki. Dawnym właścicielom majątku i dziennikarzom wydaje się, że byłby to interes dobry, Bank zaś, bądź co bądź lepiej znający się na tego rodzaju sprawach, twierdzi, że był to interes niepewny, narażający kapitał. Być może, że się Bank myli, ale mylna rachuba nie jest występką. Chwalono dotychczas Bank ziemski, że dobrze operuje powierzonymi mu kapitałami i daje akcyonariuszom dywidendę, dowodząco, że powinien opierać swą działalność na trwałych podstawach. Nagle, dla tego jedynie, że obywatelom powiatu świeckiego i dziennikarzom zachciało się koniecznie uratować Topolno, a Bank nie dał się do tego ryzykowanego przedsięwzięcia nakłonić, obarczono pożyteczną instytucję i ludzi, którzy nią kierują, zarzutem obojętności dla sprawy narodowej, niemal zdrady. Kiedy wykazano cyframi i faktami, że kupno majątku byłoby czynem lekkomyślnym, oskarżyciele zmienili treść zarzutu i zaczęli dowodzić, że jeżeli Bank nie mógł ocalić ziemi, to powinien był ratować pieniądze polskie, t. j. stanąć do licytacji i podbić cenę, żeby sumy wierzycieli Polaków nie spadły z hipoteki, lub dać jednej z wierzycielek sumę potrzebną na kaucję. Ci, co tak mówią, nie mają widocznie pojęcia o charakterze działalności poważnych instytucji i chcieliby narzucić Bankowi niewłaściwą rolę. Gdyby zadaniem jego było ratowanie pieniędzy polskich, lekkomyślnie umieszczonych na hypotekach, musiałby mieć przynajmniej dziesięć razy większy kapitał. Wreszcie, gdy i ten zarzut został odparty, wytoczono oskarżenie najcięższe, że Bank rozwija przeważnie działalność swą w Wielkopolsce, zaniedbując Prusy Zachodnie, które, jako więcej zagrożone, rychlejszej potrzebują pomocy. Patryotyzm prowincjonalny ujawnia się w tych oskarżeniach w sposób zasługujący na surowe skarcenie. »My Zachodnio-Prusacy (?) nie możemy popuścić (?) zachowania się w sprawie Topolna Banku i musimy piętnować (!) je tak, jak na to zasługuje«, pisze korespondent *Gazety gdańskiej*, a *Gazeta grudziądzka* wyraża nadzieję, że Bank przy nadarzającej się sposobności nie omieszką naprawić swej winy, jaka na nim ciąży co do Prus Zachodnich.

Śmiesznym jest ten patryotyzm zaściankowy, ale zarzut byłby istotnie ciężkim, gdyby miał jakiekolwiek uzasadnienie. Z dotychczasowej działalności Banku nie można takiego oskarżenia wysnuć. Bank zresztą, posiadając kapitał niewielki, musi podejmować takie interesy, które pod względem finansowym są najodpowiedniejsze i zapewniają szybkie wycofanie pieniędzy, potrzebnych do nowych przedsięwzięć. Inaczej być nie może, dopóki społeczeństwo nie da instytucji większych funduszy, dopóki nie podwoi lub nawet nie potroi kapitału zakładowego.

Rzeczywiście stanowisko narodowości naszej w Prusiech Zachodnich jest więcej zagrożone niż w Wielkopolsce, stosunki są nawet gorsze, niż na Śląsku Niemczenie ludności polskiej za pomocą kościoła staje się coraz bezwzględniejszym. Pisma miejscowe wciąż przytaczają nowe fakty, świadczące o germanizacyjnych usiłowaniach duchowieństwa, zwłaszcza wyższego. Niedawno biskupi chełmiński i warmiński odbyli naradę z biskupem wrocławskim, kardynałem Koppem w sprawie stosunku kościoła do ludności polskiej. W jakim duchu odbywała się ta narada, domyśleć się łatwo, zważywszy, że nie zaproszono na nią arcybiskupa Stabilewskiego.

Dwie są przyczyny smutnego stanu sprawy narodowej w Prusiech Zachodnich. Ludność niemiecka jest tam pomieszana z polską i ma przewagę liczebną, kiedy n. p. na Górnym Śląsku Polacy stanowią dosyć zwartą masę. Powtórę lud zachodnio-pruski, jakkolwiek więcej uświadomiony, nie ma tej samodzielności, którą odznacza się lud śląski. W Prusiech Zachodnich szlachta i duchowieństwo prowadziły na pasku lud miejski i wiejski, który był dotychczas biernym narzędziem ich polityki. Ale z każdym rokiem zmniejsza się liczba szlachty polskiej, która pozbywa się ziemi a wraz z nią stanowiska społecznego i wpływu na ludność i nie jest wcale przesadą twierdzenie, że nie długo tylu tylko właścicieli ziemskich zostanie, ilu potrzeba kandydatów na posłów polskich do sejmu i parlamentu. Duchowieństwo, które w tej prowincyi nie ma dla sprawy narodowej położyło zasługi, dziś, mimo najlepszych chęci, związane obowiązkiem posłuszeństwa wobec swej władzy, jawnie wrogię dążeniem polskim, nie prawie robić nie może. Władza kościelna popiera księży Niemców, zwłaszcza gorliwych germanizatorów, a nieraz i Polaków zmusza do krzewienia niemczyzny. Zresztą nawet między duchowieństwem polskim znaleźć już dziś można ludzi słabych lub nikczemnych, którzy niemczeniu swych rodaków dopomagają.

Miejscowa prasa polska dużo uczyniła dla uświadomienia politycznego ludu, ale brak jej odwagi do stanowczego zerwania z rutyną dotychczasową, do wyrażnego oświadczenia, że lud polski w Prusiech Zachodnich musi obywać się bez szlachty i duchowieństwa, musi wzmocnić w sobie poczucie samodzielności i jeżeli zajdzie potrzeba — wystąpić przeciw roszczeniom szlachty i duchowieństwa do roli naczelnej w sprawie narodowej. Jest to konieczność polityczna, do której zastosować się nakazują nam okoliczności od nas niezależne, byłoby więc daremną stratą czasu rozmyślanie i rozprawianie o tem, że mogłoby być inaczej. Można zapewne przeciągać jeszcze stan dzisiejszy przez czas dosyć długi, ale rozsądek polityczny nakazuje w podobnych wypadkach przyspieszać likwidację i wykreślać pozycje wątpliwe z rachunku sił narodowych, bo ratowanie tego, co się ratować nie da, jest lekkomyślnością narażającą całą sprawę na wielkie niebezpieczeństwo. Trzeba się zawczasu przygotować na to, że nie jedno jeszcze Topolno pójdzie na substancję i stanie się własnością komisji kolonizacyjnej lub Landbanku, że coraz częściej księża będą wprowadzać nabożeństwo dodatkowe i naukę religii po niemiecku i występować przeciw towarzystwom ludowym polskim. Skargami i bładaniem nie zaradzimy skutkom lekkomyślności szlachty i zależności duchowieństwa. Powinniśmy owszem powiedzieć sobie, że przez czas jakiś może być nawet gorzej, niż jest obecnie, bodaj że musi być gorzej, zanim znowu będzie lepiej, a będzie lepiej, jeżeli działalność polityczną oprzemy wyłącznie na mieszczaństwie i ludzie wiejskim, nie oglądając się na szlachtę i duchowieństwo, i na tej silnej podstawie zaczniemy budować na nowo, zamiast podtrzymywania walących się ruin.

J. L. Jastrzębiec.

Z ZABORU ROSYJSKIEGO.

Warszawa 27 października.

Potrzeba nowej cerkwi. Istotny stan rzeczy i łakomstwo moskiewskie. Szkółki frebrowskie. Jeszcze Kiriezenko. Co nasz ogół myśli?..

Jeszcze raz powracam do sprawy cerkwi prawosławnych w Warszawie. Tym razem winien jest warszawski ko-

respondent *Nowego Wremia*, który ją poruszył, występując z projektem pobudowania jeszcze jednej cerkwi! Przyznam się, że projekt ten wprowadził mię do pewnego stopnia w osłupienie. Za ostatnich lat panowania Huiki tak się gorliwie wzięto do ozdabiania Warszawy bizantyńskimi kopułami, iż sądziłem, że sami Rosjanie spostrzegli się, że w tym kierunku przeholowano. Tymczasem okazuje się, że im jeszcze zamało...

Rzecz się ma, jak następuje:

Po przeniesieniu szpitala Dzieciątka Jezus opróżniła się w środku miasta znaczna przestrzeń, zajęta dotychczas przez zabudowania i ogród szpitalny. Zarząd miasta, rozporządzający nader skromnymi funduszami, podzielił tę przestrzeń na place i sprzedaje osobom prywatnym, pokrywając tym sposobem koszt pobudowania nowego szpitala. Naturalnie, cena placów, ze względu na ich położenie, jest nader wysoka.

Otóż jeden z tych placów kupiła hr. Krasieńska, przeznaczając go pod budowę nowego kościoła, istotnie bardzo potrzebnego w tej okolicy miasta. To dało asumpt korespondentowi dziennika petersburskiego do wystąpienia z projektem zbudowania na innej z nowo utworzonych posesyi prawosławnej cerkwi, co więcej, zaproponowania zarządowi miasta, ażeby plac ofiarował za darmo! Rozumie się, pan korespondent dodaje policyjną uwagę, iż zarząd miasta, złożony, z wyjątkiem prezydenta, z Polaków, nie będzie miał do tego wielkiej ochoty.

Pomijając już beczelne żądanie ofiary ze strony miasta dla cerkwi, gdy za plac pod katolicki kościół zapłacono ogromną sumę, warto raz wreszcie wykazać, o ile Warszawie nowych cerkwi potrzeba.

Miasto nasze ma na 300.000 z górą katolików — 30 świątyń katolickich, licząc w to kościółki na Woli, w Mokotowie, stary na Pradze, stary i nie mający dziś przy nowym znaczenia św. Barbary na Koszykach, przy cmentarzu na Powązkach, kościółek prywatny przy ul. Bonifraterskiej, wreszcie kapliczkę przy Warsz. Tow. Dobroczynności. Odliczając zaś te małe, właściwie kapliczki lub oddalone od miasta kościółki, może być mowa tylko o 23 kościołach, a i z tych jeszcze niektóre, jak św. Andrzeja (Kanoniczek) lub popijarski, są bardzo skromne, i szczupłe, i za kaplice raczej mogą być uważane. Na jedną więc świątynię katolicką wogóle przypada przeszło 10 tysięcy katolików, na jeden zaś kościół większy 15 tysięcy. Nie więc dziwnego, że istnieje dążność do wznoszenia nowych kościołów, zwłaszcza w dzielnicach nowej Warszawy, które ich prawie wcale nie posiadają!

Jakże się w porównaniu z tem przedstawia położenie mieszkańców wyznania uprzywilejowanego.

Warszawa liczy mieszkańców prawosławnych około 20.000, a z wojskiem około 50 tysięcy. Na tę liczbę w mieście istnieje 9 cerkwi dużych i 21 mniejszych, razem 30. Na jedną więc cerkiew przypada około 1.700 ludzi, na jedną zaś dużą cerkiew 5 tysięcy. Nie biorąc zaś pod uwagę wojska, jako ilości niestałej, wojsko bowiem przepędza lato przeważnie za miastem, a i w mieście ma cerkwie pułkowe, policzone wyżej między mniejszemi, na jedną z dzie więciu większych cerkwi przypada 2.000 cywilnych mieszkańców wyznania prawosławnego. Stąd wynika, że prawosławni mają siedem razy więcej od katolików miejsca do modlitwy. Nie mówimy już o tem, że między t. zw. prawosławnymi jest wielu takich, którzy tylko *de nomine* do tego wyznania należą, których zaliczyły gwałtem władze, oni zaś uważają się za katolików i w katolickich kościołach się modlą.

Od r. 1860 do dnia dzisiejszego ludność Warszawy potroiła się. W tym samym czasie przybyły tylko cztery

nowe kościoły katolickie, mianowicie: kość. Wszystkich Świętych na Grzybowie (1862—1883 r.), św. Piotra i Pawła na Koszykach (1885 r.), i będące obecnie w budowie św. Augustyna przy ul. Dzielnej oraz św. Floryana na Pradze. Tymczasem skromna garstka prawosławnych mieszkańców Warszawy zdobywa w tym samym czasie 5 cerkwi dużych, nie licząc kilkunastu mniejszych.

Wogóle historia powstawania cerkwi schizmatycznych w naszym mieście jest bardzo ciekawa.

Przed powstaniem listopadowym miała Warszawa tylko jedną cerkiew, założoną przez kupców Greków, mieszczącą się od r. 1818 przy ul. Podwale. Od 1832 r. cerkiew ta była soborem. Drugą pobudowano w cytadeli w r. 1835. W tym mniej więcej czasie powstała trzecia cerkiew na Woli, przerobiona z pamiętnego kościoła, zniszczonego podczas obrony Warszawy. Wreszcie w r. 1837 na przedstawienie Paskiewicza zamieniono na cerkiew piękny kościół pijarski przy ul. Długiej i zrobiono go warszawską katedrą schizmatyczną.

Te cztery duże cerkwie — nie mówimy o mniejszych — wystarczały do ostatniego powstania. W parę lat po powstaniu, w r. 1868 zbudowano stylową cerkiew na Pradze, a w r. 1876 zamieniono na cerkiew kościół unicki, pobazyliński, przy ul. Miodowej.

Taki stan rzeczy pozostał do ostatnich niemal czasów. Dopiero w ostatnich kilku latach Moskali opanował formalny szal na tym punkcie. Po całym Królestwie zaczęto budować przybytki prawosławnego Boga, najwięcej zaś ucierpiała Warszawa. Jednocześnie prawie przerobiono piękny pałac Staszica na cerkiew *Kirilla i Miefodija*, w Alejach Ujazdowskich wzniesiono będącą obecnie na ukończeniu dużą cerkiew *Michała Archangiela*, wreszcie na Saskim placu, w najpiękniejszym punkcie miasta rozpoczęto budowę ogromnego soboru św. *Kniazia Aleksandra Niewskiego*, mającego kosztować przeszło półtora miliona rubli.

Trzy takie cerkwie naraz w katolickim mieście — to chyba dosyć, ażeby ich budowę uważać za naigrawanie się z religijnych i narodowych uczuć ludności. Widocznie jednak spokojne tej ludności zachowanie się, a w ostatnich czasach zapewnienia lojalności ze strony t. zw. ugodowców zaostrzyły apetyt wojującego prawosławia, i oto powstaje nowy projekt, podniesiony, jak powiedzieliśmy, w *Nowem Wriemiu*, w imieniu, widocznie, jakiegoś kółka warszawskich »*obrusitieli*«. Chcą oni, ażeby zarząd miasta dał zadarmo najcenniejszy kawałek poszpitalnego terenu (na rogu ulic Marszałkowskiej, Zgody i Nowej) pod budowę jeszcze jednej cerkwi. Za powód podają, że prawosławni mieszkańcy ul. Marszałkowskiej mają daleko do cerkwi (jak gdyby wszystkie trzy najnowsze cerkwie nie leżały właśnie w pobliżu rozmaitych punktów tej ulicy), i pozwalają się domyślać, iż opór magistratu byłby uważany za dowód nielojalności, pochodzącej stąd, że zarząd miasta i jego biura obsadzone są Polakami... Tymczasem miasto, któremu się proponuje wystąpienie z tak szczerdym darem, obdzierane przez rząd, płacące czwartą część swych dochodów na utrzymanie policji, obdłużone, nie może się skutkiem braku środków zdobyć na zaspokojenie najbardziej palących potrzeb!

W tych dniach, z rozporządzenia generał-gubernatora, zamknięto w mieście szkółkę freblowską, należącą do p. Maryi Chełmońskiej, ponieważ były podejrzenia, iż dzieci tam, po nad zatwierdzony program uczyły się... *czytać i pisać*. U nas nauka czytania i pisanja uważana jest za przestępstwo polityczne, za działanie przeciw rządowi, który »dba o wszechstronny rozwój naszego kraju«.

Dla osób, które się zajmowały losem nieszczęsnego policmajstra radomskiego, Kiriczenki, skazanego przez sąd

za należenie do szajki złodziejskiej, obdzieranie obywateli i wymuszanie łapówek... aż na osiem miesięcy więzienia bez pozbawienia praw, nieobojętną pewnie będzie wiadomość, że senat skasował mu karę więzienia i że obecnie ukaz carski datowany z Darmsztadu, zalicza b. policmajstra radomskiego, uwolnionego od obowiązków »skutkiem spraw domowych«, rotmistrza Kiryzenkę do kawalerji liniowej!

Widzimy tedy, że nowe panowanie w Rosji jest istotnie liberalne i że zaczyna swój liberalizm od reformowania terminologii etycznej: zaliczenie złodziejstwa, grabieży i t. p. do spraw domowych — to stanowcze krok naprzód. Z tem wszystkiem ładnie w »szerokiej odczyźnie« wygląda honor oficerski, jeżeli p. Kiryzenko może nosić mundur rotmistrza kawalerji liniowej...

Nie wiem, czy te właśnie objawy liberalizmu budzą taką wiarę w sferach t. zw. ugodowców naszych, że aż zaczynają dbać o dobrą sławę Rosji po za granicami państwa. W gorliwości swej wiernopoddanej wysyłają oni aż delegacje za kordon do celu uproszenia pism galicyjskich, żeby nie obecnie przeciw Rosji nie zamieszczęły, żeby zamykały oczy na najjaskrawsze fakty barbarzyńskiego ucisku. Widocznie jednak na wasz *Przegląd* pod tym względem nie liczą, bo *Kraj* z góry radzi dziennikarzom rosyjskim, żeby na opinię tego szowinistycznego organu nie zważali. Pewnie tygodnik petersburski pragnie, ażeby za wyraz opinii polskiej uważano słowa »prawosławnego« p. Spasowicza, który świeżo, w odczycie o Pawińskim dla Rosyan podobno raz na zawsze pogrząbał Polskę. Dobrze, iż nawet wśród wiernopoddanych »ugodowców« nie wszystkie są gotowi iść tam, dokąd ich p. Spasowicz zaprowadzi.

Są między nimi ludzie, którzy wierzą, że będzie można dla czegoś więcej, jak dla dobra i potęgi Rosji pracować. Wierzą i spodziewają się, mówiąc w duszy:

„Jeden tylko, jeden cud:

„Z szlachcią polską... carski rząd...”

Szkoda tylko, że ani na papierze, ani w życiu nie można tego jakoś zrymować. Cud jest, ale w rodzaju owego, o którym mówi legenda: »Pewnego razu przemówił dziad do obrazu, a obraz do niego ani razu...«

Tymczasem ów wyrzucony z aktu wiary naszych arlekinów politycznych »polski lud« coraz mniej o sobie pozwala zapominać. Można śmiało powiedzieć, iż nigdy dotąd idea pracy narodowej nad ludem nie była tak szeroko uznawana i pojmowana tak poważnie. Prawda, że więcej właściwie mówi się, niż robi, ale to też prawda, że ludzie, których dawniej nie posadzało się nawet o demokratyczne dążności, dziś przykładac zaczynają rękę do tego dzieła, będącego najpewniejszym fundamentem lepszej przyszłości. Można śmiało powiedzieć, że najnowszy okres ruchu narodowego, który się zaczął przed kilku laty paru manifestacyami, będzie miał dla przyszłości nader doniosłe znaczenie. Dawszy początek ożywieniu politycznemu w społeczeństwie, wywoławszy, jako przeciwdziałanie, politykę ugodową, rozwija on się ciągle w całym kraju, bądź jako planowa praca, bądź jako żywiołowa fermentacja umysłów masy społecznej, dla której każde wystąpienie przeciw rządowe, każdy akt masowych aresztowań, jest bodźcem, przedłużającym swe działanie na coraz szersze koła, nieobliczonym w skutkach.

Myśli te nasuwają się, gdy słuchamy osób, przybywających z prowincji, stwierdzających powszechnie fakt, iż stan umysłów w całym kraju w ciągu ostatniego lat dziesiątka do niepoznania się zmienił. Te manifestacje i zesłania, które opinia mieszczańska traktowała tragicznie, widząc w nich wyłącznie bezowocne wysiłki oraz dziesiątki i setki ofiar, wywołały echo, odbijające się po najdalszych zakątkach kraju i budzące myśl walki z obcym rządem tam, gdzie ona dotychczas nie powstała.

Z ZABORU PRUSKIEGO.

Poznań, 28 października.

Sprawa opalenicka przed sądem. Nadużycia władzy. Książka polska u żołnierza. Towarzystwo czytelników ludowych. Zmiany w *Dzienniku poznańskim*. Oświadczenie p. Głębockiego. *Przegląd poznański*

Dziś zaczyna się w Międzyrzeczu proces 9 oskarżonych w sprawie opalenickiej i kiedy czytelnicy słowa te czytać będą, z pewnością wyrok już zapadnie. Zresztą nie tyle ważnym jest rezultat procesu, bo z pewnością kilku oskarżonych ukarze sąd za »naruszenie spokoju krajowego«, lub »rozmyślne uszkodzenie ciała« — ile doniosłem jest należyte wyjaśnienie sprawy. Jest to dla obrony bardzo wdzięczne i nie zbyt trudne zadanie, bo zeznania 68 powołanych świadków dostarczą dosyć materiału. Echa awantury opalenickiej nie przebrzmiały dotychczas w prasie niemieckiej, która wciąż występuje z nowymi projektami poskromienia intrygi polskiej. Dokładne wyjaśnienie prawdziwego charakteru zajścia i przyczyn, które je wywołały, jakkolwiek nie wpłynie na zmianę zachowania się prasy hakatystowskiej względem naszego społeczeństwa, oddziała niewątpliwie na sfery rządowe i rozsądną część opinii publicznej. Władze miejscowe, które widocznie obawiają się hakatystów i dają ucho ich podszeptom, przekonawszy się dowodnie, do czego wszczynane przez szowinistów niemieckich awantury doprowadzają, może będą trochę ostrożniejsze w postępowaniu i mniej pochopne do ulegania wpływom ubocznym.

Tym wpływom ubocznym przypisać należy taki np. fakt, jak wezwanie d-ra Broeckerego, który jest asystentem na wydziale chirurgicznym w zakładzie Sióstr miłosierdzia, żeby wystąpił z Sokoła poznańskiego. Regencya ma nadzór nad zakładem, więc prezes naczelny samowolnie i nieprawnie przypisuje sobie władzę kontrolowania życia prywatnego lekarzy, którzy nie są jego podwładnymi, ani nawet urzędnikami państwowymi. Zdaniem prezesa naczelnego Sokół »zdradza tendencje antypaństwowe«, więc udział w nim osób, mających jakąkolwiek styczność z władzami pruskimi, nie może być dopuszczonym. Bardzo szeroko pojmuje prezes naczelny prawo kontroli i dozoru nad zakładem Sióstr miłosierdzia.

Ofiarą — możnaby powiedzieć nadużycia władzy, ale tego rodzaju nadużycia przeszły już w system, stale do nauczycieli Polaków i katolików stosowany — a więc ofiarą systemu padł p. Piotr Paliński z Rupienicy pod Bydgoszczą. Zasłużony ten wychowawca młodzieży, którego referat na zjeździe nauczycieli katolickich zyskał powszechne pochwały, po 23 latach gorliwej i sumiennej służby otrzymał dymisy, bez przyznania mu jakiegokolwiek pensyi.

P. Paliński był bardzo czynnym w stowarzyszeniu nauczycieli katolickich i wywierał wpływ na swych kolegów w duchu narodowym. To było główną przyczyną udzielenia mu dymisy, powodem zaś napisanie przez niego przedmowy do przekładu powieści Bolandena p. t. »Dyabeł w szkole«. W przedmowie tej dopatrzyła się regencya obrazy ewangelickich nauczycieli i inspektorów szkolnych, chociaż autor ani słówkiem o nich nie wspomina, zaznacza tylko fatalny wpływ na młodzież »pedagogów, którzy albo wcale lub też niedostatecznie władają językiem ojczystym dziecka«. Dodać trzeba, że chociaż śledztwo toczyło się 2 lata, p. Palińskiemu nie udowodniono bynajmniej, że on był tłumaczem powieści i autorem przedmowy, podpisanej pseudonimem »Janek z nad Wisły«. Pozbawiony kawałka chleba nauczyciel jest wdowcem i ma pięcioro dzieci.

Na pamiątkę trzeciego rozbioru Polski wydał *Goniec* książeczkę z ilustracjami, opisującą ten akt bezprawia

i gwałtu. Książkę znaleziono u żołnierza Polaka, odstępującego wojskowość w Brandeburgii, okazało się w tym wypadku, że władza wojskowa pilnie śledzi, co żołnierze czytają, tropiąc głównie pisma socjalistyczne. Ze znalezienia książeczki zrobiono wielką sprawę, niebezpieczne dziełko przetłumaczono na język niemiecki i posłano do Berlina, ażeby wyższe sfery dowiedziały się, jakie niebezpieczne książki Polacy między żołnierzy rozdają. W oczach władz pruskich fakt ten nabiera szczególnego znaczenia z powodu zeznania żołnierza, że książkę dał mu jeden z naszych księży.

Są u nas ludzie tak ostrożni, a raczej tak tehrózliwi, że gotowi potępić księdza za rozdawanie podobnych książeczek, a nawet redakcyę *Gońca* za to, że je wydaje. Politycy tego autoramentu naiwnie wierzą lub wiarę udają, że jeżeli nie damy Niemcom żadnego powodu do występowania przeciw nam, to na prześladowanie się nie narazimy. Tymczasem możnaby dowieść, że właśnie nasza nadmierna lekliwość ośmiela Niemców. Książka wydana była legalnie, każdy więc ma prawo rozdawać ją i czytać, nie wyłączając księży i żołnierzy. Zresztą chociażby żołnierz i ksiądz narażeni zostali niesłusznie na przykrości, to czyż dla uniknięcia tego mamy zaniechać oświecania ludu w sprawach narodowych? Gdyby książki patryotyczne znaleziono nie u jednego, ale u 100, 200 żołnierzy Polaków, krzyczeliby wprawdzie Niemcy głośniejsze o intrydze polskiej, ale nie wszczynaliby żadnych spraw z tego powodu.

Niektóre z powyższych uwag zastosować można do świeżo wydanej odezwy »Towarzystwa czytelników ludowych«. Wobec nieprzychylniej postawy władz musi Towarzystwo w wyborze książek i wogóle w działalności swojej zachowywać wielką oględność. Program jednak, jaki sobie w odezwie do społeczeństwa czytelników ludowe zakreslają, zanadto jest ciasnym. »Oświata religijna i naukowo-zdrowa« w naszych stosunkach nie wystarcza, powinna być przede wszystkim ta oświata narodową i na tę jej właściwość szczególnie kłaść nacisk należy, jawnie i świadomie, jeżeli zwłaszcza chodzi o poparcie społeczeństwa. Dodać trzeba, że pojmowanie oświaty religijnej i naukowo-zdrowej zbyt jest wyłącznem i Towarzystwo niepotrzebnie ogranicza dobór książek, wprowadzając zbyt surową cenzurę. Nauka prawdziwa nie może być niezdrową, religijność zaś nie powinna być jedyną, chociażby nawet tylko najważniejszą kwalifikacją do zalecania książek. Co innego jest niedopuszczanie książek, przeciwnych religii, a co innego karmienie czytelnika strawą przeważnie religijno-umoralniającą. Towarzystwo czytelników ludowych w odezwie do publiczności powiada: »Nikt nie ma tej siły, żeby postawić chiński mur nieprzebyty między ludem a oświatą. Ona spływa do niego z Bożego przeznaczenia, on jej łaknie, on ją chłonie. Jeżeli nie będziemy ludowi podawali dobrych książek, będzie on czytał książki złe, bo czytanie stało się już u niego potrzebą życia nieodzowną«.

Tak jest istotnie, i dlatego właśnie należałoby dopuścić więcej swobody i różności w wyborze. Trzeba dawać ludowi nie tylko te książki, które my za dobre i wystarczające dla niego uznajemy, ale też uwzględniać jego potrzeby duchowe i upodobania. Jeżeli czytanie i chęć oświecania stały się potrzebą nieodzowną, to »nie ma tej siły, żeby postawić chiński mur nieprzebyty między ludem a oświatą«. Nie znajdując w książkach polskich zaspokojenia wzrastających potrzeb i żądań, lud szukać go zacznie w książkach niemieckich, jak to już w miastach dosyć często się dzieje. Lud nasz silny i zdrowy strawi wszystko bez szkody, ścisła dykta umysłowo-moralna zbytęzną jest dla niego.

Ważną nie tylko dla naszych stosunków prasowych ale i politycznych była wspólna uchwała akcyonaryuszów

Dziennika poznańskiego i akcyonaryuszów drukarni tegoż pisma, postanawiająca złączyć obie te spółki w jedno towarzystwo akcyjne. Do rady nadzorczej tego towarzystwa wstąpił p. Józef Kościelski. Wybór p. Kościelskiego czytelnicy *Dziennika* muszą poniekąd uważać za wotum zaufania do jego polityki. P. Kościelski, jak słusznie zaznaczył *Orełdownik*, »nie będzie należał w radzie nadzorczej do takich, co umieją się ułożyć, tylko będzie jednym z takich, co gwiżdżą na piszczałce, żeby inni według niej tańczyli«. *Dziennik*, który w ostatnich czasach kilkakrotnie oświadczał się stanowczo przeciw polityce t. zw. partii dworskiej, zawróci znowu na dawną drogę. Ma się rozumieć, p. Głębocki, który był jednym z energiczniejszych przeciwników tej polityki, nie może zostać na stanowisku redaktora i chociaż rada nadzorcza nie wybrała dla braku czasu kierownika pisma, odkładając tę sprawę do przyszłego zebrania, p. Głębocki ogłosił następujące oświadczenie:

»Wobec licznych i ciągłych zapytań, jakie w ostatnim czasie w kwestyi pozostania mego w redakcyi »*Dziennika Poznańskiego*« odbierałem i odbieram, oświadczam na tej drodze, iż byłem i jestem tylko redaktorem prowizorycznym i że ewentualnego wyboru na stałego redaktora naczelnego nie przyjmę«.

Prawdopodobna zmiana w kierunku politycznym *Dzienniku* tymbardziej powinna zachęcić te koła inteligentne, które polityce ugodowej są nieprzychylnie, do poparcia *Przeglądu poznańskiego*. Mówiono o utrwaleniu bytu tego pisma i o zmianach w redakcyi. Reforma dotychczas nie nastąpiła, jedyna zaś zmiana, którą czytelnicy dostrzedz mogą, polega na tem, że numer jest mniejszy, a dobór artykułów gorszy, niż poprzednio. Czy to jest tylko przesilenie chwilowe, po którym oczekiwać należy ożywienia pisma, czy też powolne jego zamieranie — osądzić trudno niewtajemniczonymu w wewnętrzne sprawy redakcyi. Nie tracimy wszakże nadziei, że *Przegląd* się odrodzi chociażby w zmienionej formie, bo inaczej zwątpićby należało o żywotności naszej inteligencji demokratycznej.

J. M.

Wyrok sądu w sprawie opalenickiej. Sędziowie przysięgli w Międzyrzeczu w d. 31 października orzekli, że z oskarżonych 3 tylko winni są zranienia bez użycia niebezpiecznych narzędzi i zastosowali do nich okoliczności, łagodzące winę. Na podstawie tego orzeczenia sąd skazał Kłaczynskiego na 3 miesiące więzienia, a Śmierchal-skiego i Roja na 30 i 20 marek kary pieniężnej. Prokurator żądał skazania 7 osób za 1) przekroczenie ustawy o stowarzyszeniach, 2) naruszenie pokoju krajowego, 3) ro-zmyślne zadanie ran za pomocą niebezpiecznych narzędzi w sposób dla zdrowia i życia szkodliwy. Ze sprawozdań dotychczasowych z przebiegu procesu okazuje się, że zeznania wszystkich prawie świadków, nie wyłączając urzę-dników Niemców, potępiają Carnapa. Najbardziej obciążają-cem komisarza obwodowego jest zeznanie odźwiernego Lehmana, złożone pod przysięgą i ubocznie potwierdzone przez naczelnika stacyi Müllera. Lehmann na śledztwie po-wiedział i przed sądem powtórzył, co następuje: Dnia 14 ub. m. miałem służbę na dworcu. Przed odejściem pociągu przyszedł p. Carnap, bez czapki, z dobytym pałasem, wzburzony bardzo i zawołał: »muszę zażgać tego polskie-go psa w czerwonym kaftanie (*den polnischen Hund in der rothen Jacke muss ich erstecken*)«. Ponieważ Carnap nie miał biletu, odźwierny nie chciał go wpuścić na peron. Komisarz krzyczał, co słyszała bufetowa Warczewska: »Z powodu takiej polskiej świni mam się dać bić«! (*wegen solchen polnischen Schweines soll ich mich schlagen lassen*). Carnap przyznał się do tych słów, twierdzi jednak,

że nie powiedział *wegen* ale *vom*, co zmienia ich znacze-nie. Kiedy wrócił powtórnie z kartą wstępu, biegła, jak zeznaje Lehmann, po peronie i wołał: »gdzie jest ta świni-a, gdzie jest ten łajdak« (*Lump*). Jeżeli śledztwo, któ-re powinno być wytoczone, stwierdzi prawdę słów Lehman-na, Carnap będzie miał proces o krzywoprzysięstwo.

— *Prześladowanie kleryków - Polaków.* Klerykom polskim w seminaryum w Pełplinie władza kościelna po-zwala czytać z pism polskich tylko bezbarwnego i klery-kalnego *Pielgrzyma*, natomiast poleca gdański *Volksblatt*, katolicki ale wrogi Polakom. Za czytanie pism polskich grozi klerykom surowa kara. Niedawno kilku z nich za czy-tanie *Gazety codziennej* odebrano t. zw. »sztunderkę«. Na koszt utrzymania w seminaryum płacić powinien każdy kleryk 200 marek rocznie. Kto może — płaci zaraz, kto zaś niema pieniędzy, tego warunkowo uwalniają od opłaty, biorąc od niego zobowiązanie, że zostawszy księdzem, spłaci cały dług ratami. Nazywają tę ulgę »sztunderką«; niejedyn biedak bez odroczenia opłat nie mógłby ukończyć nauk. Otóż teraz klerykom, ukaranym za otrzymywanie pism pol-skich, nakazano płacić całe 200 marek rocznie, chociaż są oni wszyscy niezamożni i muszą teraz zadłużać się na lichwę u żydów. Regens seminaryum ks. Rosentreter, zawzięty germanizator, pisuje wrogie Polakom korespondencye do gdańskiego *Volksblattu* i niechce widocznie, żeby klerycy czytywali odpowiedzi pism polskich na jego niedorzeczne wypracowania.

Za pomocą takich i podobnych środków władza du-chowna chce z młodzieńców polskich wychować księży, obojętnych dla sprawy narodowej lub nawet wrogo wzglę-dem niej usposobionych. Ale prześladowaniem złamać mo-żna i zdemoralizować tylko jednostki bierne i słabe, w silniej-szych i szlachetniejszych podnieci ono chęć oporu i rozbudzi świadomość narodową. Z tych kleryków, którym odebrano »sztunderkę«, z pewnością germanizacya przez kościół nie wytworzy swoich popleczników.

Z GALICYI.

Lwów 31 października.

Wzmaganie się ruchu ludowego — Wybory do rad powiato-wych. — Zwycięstwo ludu w sanockiem. — Wybory do Sejmu w Krakowie i we Lwowie. — Zawiązek wszechnicy ludowej

Ruch ludowy, który przed rokiem po raz pierwszy ze zdumiewającą siłą wypłynął na widownię politycznego życia w Galicyi, święci dziś nowe tryumfy. Odbyte 19 b. m. w całym szeregu powiatów, przeważnie zachodnio galicyj-skich, wybory do rad powiatowych, wynikiem swoim dowo-dnie stwierdziły, że ruch ten rozwija się żywiołowo, że pogłębia się stale i coraz to szersze w masach ludu i w spo-łeczeństwie zatacza kręgi.

Do niedawna jeszcze były rady powiatowe w swym składzie jakby miniaturówem odbiciem galicyjskiego Sejmu. Jakkolwiek z ustawy na wybór reprezentacyi powiatu wpływ mają obok większej własności także miasteczka i gminy wiejskie, ale szlachta rządziła w radach niepodzielnie, a chłopci, nawet z kuryi włościańskiej wchodzili do nich tylko wyjątkowo i w najlepszym razie odgrywali tam rolę czynnika, w miarę potrzeby dekoracyjnego, zwyczajnie zaś stawianego po za nawias. Podobnie jak przy wyborach do Sejmu i do Rady państwa, lud z braku należytego zroz-u-mienia własnych swych interesów bądź sam szlachcie odda-wał swe głosy, zdobywane często przekupstwem i presją, bądź też, czując instyktownie, że groszem ogółu opłacana

gospodarka powiatowa, głównie na jego skórze się odbija, a żadnego mu nie przynosi pożytku, nie widząc wszakże zaradom wyjścia z nieznosnego położenia, niechęć swą do osób i stronnictw przenosił na instytucję i samorząd, i wyrażał ją dość często w rozpaczliwym haśle, żądającym zupełnego zniesienia rad powiatowych. Jeżeli z tem hasłem, szkodliwym, bo z założenia błędnem, dziś już spotkać się trudno, jeśli ono ustąpiło miejsca zdrowszemu pogładowi i przeświadczeniu o racji bytu i zasadniczej użyteczności autonomicznych urzędów, to jest w tem niemała zasługa ruchu ludowego, który w krótkim stosunkowo czasie potrafił wyrobić w masach samowiedzę polityczno społeczną i uczynił je przystępnymi zarówno dla pojęć obywatelskich, jak ogólnie narodowych. Dzięki temu ruchowi Sejm pozyskał niedawno w zastępie »nowych« ludzi pewną sumę sił zdrowych, nad podziw inteligentnych, do pracy skutecznej chętnych i zdolnych; w dalszem tego ruchu następstwie nowy żywioł wchodzi do rad powiatowych, zdobywa sobie w nich udział należny, napełnia je duchem sprawiedliwych reform i zapowiedzią wydajnej działalności.

W porównaniu z zeszłorocznem zwycięstwem lud tym razem wystąpił z większą jeszcze godnością, powagą i siłą. Wybory odbyły się wszędzie spokojnie, a zachowanie się organów rządowych było na ogół taktowne i bez zarzutu, co niewątpliwie przypisać należy wskazówkom z góry, świadczącym, że ostatnie energiczne wystąpienie posła Lewakowskiego w parlamencie wiedeńskim poskutkowało.

Kraków, Chrzanów, Bochnia, Wadowice, Grybów, Krośno, Limanowa, Mielec, Myślenice, Dąbrowa, Tarnobrzeg i Skawiat — oto powiaty, w których stronnictwo ludowe przeprowadziło w zupełności listy kandydatów swoich, już to przeważającą odrazu większością, już też po zaciętej walce z stronnictwem zachowawczem, po dwu, i gdzie indziej trzykrotnem głosowaniu. W krakowskim, krosieńskim, mieleckim, tarnobrzeckim i skałackim wybrani zostali sami chłopci, w innych powiatach przyjmowano na listę także z pośród inteligencji zdecydowanych zwolenników ruchu ludowego i tak: w chrzanowskim i wadowickim przeszli z chłopami adwokaci, w myślenickim inżynier i dwóch inteligentnych mieszczan, w dąbrowskim radca sądowy, w limanowskim aptekarz, w bocheńskim, ropczyckim i grybowskiem nawet właściciele obszarów dworskich. Księża lud dwóch tylko wybrał, w powiatach chrzanowskim i grybowskiem, czemu dziwić się nie można, wobec na ogół niechętniej postawy, jaką duchowieństwo galicyjskie z nakazu politykujących biskupów przybrało względem ruchu ludowego. Bądź co bądź szczegóły powyższe dowodzą, że mimo przeciwnych twierdzeń prasy konserwatywnej stronnictwo ludowe nie zasklepia się bynajmniej kastowo w sferze włościańskiej i nie hołduje bezwzględnej zasadzie, że chłopci chłopca tylko wybierać powinni. Zresztą wybór samych włościan, gdyby nawet był regułą, nie zasługiwałby na potępienie ani nie ubliżałby ludowi, po powiatach zaś takich, jak krakowski, skąd stańczykowskie galicyjskie ciemny ród swój wywodzi i gdzie do niedawna jeszcze zmora na wszystkich i wszystkim ciążyło, wybór taki, znamienny dla radykalnego wyzwolenia się włościan z narzuconej im przewagi klerykalno-szlacheckiej jest objawem ze wszech miar pożądanym i ważnym na przyszłość.

Trzy tylko powiaty nie przyniosły stronnictwu ludowemu zwycięstwa. W gorlickim kierował wyborami starosta Gubatta, innymi słowy bohater zeszłorocznej kompanii sejmowej, powiatu niskiego bronił przed nawałą ludową adwokat, poseł i właściciel dóbr w jednej osobie, Kostheim, indywiduum, przez własnych kolegów w zawodzie napiętnowane za czyny, podpadające kodeksowi karnemu. Obaj dygnitarze mieli się podobno jaskrawych dopuszczać nadużyć,

które będą niewątpliwie przedmiotem energicznego protestu wyborców do władz. W rzeszowskim nakoniec zawehrył ks. Stojałowski, rozbił solidarność ludu, i oddał go na pastwę przeciwników. Do rady powiatowej weszło tu ostatecznie ośmiu włościan, między nimi czterech Indowców, natomiast ze zwolenników ks. Stojałowskiego ani jeden nie został wybrany.

Praktyczne następstwa ostatnich wyborów okazały się niebawem. Kilkanaście rad powiatowych zmieniło gruntownie swą fizyognomię i przybrało cechę wybitnie ludową. Żywioł włościański zdobył w nich udział poczesny, stanął na równi z tymi, którzy dotąd mieli nad nim ogromną przewagę. Jeżeli się nadto uwzględni, że ruch ludowy zaczyna z kolei zjednywać sobie sympatyę i w miastach, że sympatya ta znajduje już nawet tu i ówdzie wyraz w wyborze członków do rad z kuryi miejskiej, jak to się stało w myślenickim, to ludowcy w niektórych reprezentacjach powiatowych stanowczą rozporządzać będą większością i, co zatem idzie, mogą z grona swego wybierać marszałków. Z biadań pism zachowawczych wnosić trzeba, że zdaniem ich byłoby to dla kraju wielkiem nieszczęściem Tymczasem przykłady innych krajów, w szczególności Czech, gdzie chłop, wybrany marszałkiem powiatu, jest typem wcale często spotykanym, świadczą, że gospodarka powiatowa pod rządami ludowymi rozwija się prawidłowo i nieraz błogosławieństwem raczej niż klęską bywa dla kraju. Trudno zrozumieć: dlaczegooby miało być inaczej w Galicyi. Wogóle, galicyjska prasa konserwatywna omawia wyniki powiatowych wyborów tonem elegijnym, potwierdzającym domysły p. Smarzewskiego, że w sferach tych »strach jest wielki.« Nie dziw. Wyrwano im z rąk posterunki, które służyły nieraz za niezachwiane podstawy operacyjne przy kampaniach wyborczych do sejmu i parlamentu, a strach tym większy, że wkrótce i do Rady państwa lud będzie wybierał na nowo. Dziś już przewidzieć można, że ruch ludowy bardziej jeszcze do tego czasu się wzmoże i z większą wystąpi siłą.

Przybywa nam świeży dowód jego rozrostu. Bnia 30 b. m. przy wyborze uzupełniającym do sejmu z kuryi gmin wiejskich w powiecie sanockim kandydat ludowy, włościanin z Beska Grzegorz Milan po dwukrotnem głosowaniu zwyciężył właściciela dóbr Morawskiego. Rusini, którzy tworzą tam znaczny procent ludności, pierwotnie wysunęli kandydaturę księdza Kałużniackiego, ten jednak widząc, że nie przejdzie, ustąpił Milanowi i przeważał szalę na stronę polskiego ludu. W ten sposób sejmowy klub posłów ludowych nowego pozyskał członka.

Nie ma natomiast powodu radować się dawna lewica sejmowa, przezwana polskim klubem demokratycznym, doczekawszy się wreszcie po tylu latach częściowego bodaj spełnienia jednego z głównych swych postulatów, t. j. powiększenia liczby posłów z Krakowa o jednego i ze Lwowa o dwóch. Wybory te dodatkowe odbyły się również 30 b. m., wśród okoliczności wielce znamiennej. Po czwarty mandat krakowski sięgali poseł do rady państwa dr. Sokołowski, znany literat p. Kazimierz Bartoszewicz, oraz były rektor uniwersytetu, członek Izby panów, zaliczający się obecnie do głównych luminarzy galicyjskiego konserwatyzmu, prof. Zoll, którego kandydaturę w powiecie wadowickim, przed rokiem stracili chłopci. Dwaj pierwsi kandydaci przedstawiali się wyborcom na publicznych zgromadzeniach, dr. Sokołowski pod sztafandarem lewicy, p. Bartoszewicz z programem własnym, a raczej w braku programu ze zjadliwą, dosadną, w wielu punktach trafną krytyką stronnictwa zachowawczego i liberałów. Dr. Zoll wybrał drogę pewniejszą. Na żadnem zgromadzeniu nie stawał, żadnej nie wygłaszał mowy, mimo to a może właśnie dla tego przez t. zw. komitet centralny wyborczy został zgodnie zatwierdzony

i przy pomocy dwóch ważnych czynników presji rządowej i zapewne niebezinteresownego poparcia kahału, przy niesłychanie zresztą słabym udziale głosujących, otrzymał potrzebną większość. Tak tedy wykończony przez »demokratyczną lewicę« czwarty mandat sejmowy z Krakowa przypadł posłowi konserwatywnemu.

We Lwowie nie było wprawdzie kandydatur wyraźnie rządowych ani konserwatywnych, wybory jednak nie obudziły również większego zainteresowania. Zaledwie co trzeci wyborca głos oddawał. I tu rolę decydującą odegrali żydzi. Wybrany został posłem nowy prezydent miasta Dr. Godzimir Małachowski, który w swej mowie kandydackiej przyrzekł, że wstąpi do klubu demokratycznego w sejmie. Nie to jednak zapewniło mu wybór, lecz raczej stanowisko, jakie zajmuje w mieście. O drugi mandat rozgrywała się walka między redaktorem *Kuryera lwowskiego* Henrykiem Rewakowiczem, emerytowanym profesorem Soleskim i blacharzem Ciucheńskim. Dwaj pierwsi stawali pod znakiem stronnictwa ludowego. Żaden z nich nie otrzymał wszakże dostatecznej liczby głosów i wybór rozpisany będzie na nowo. Wśród powyższych kandydatur najpoważniejszą była i jest kandydatura Rewakowicza. Dziennikarzy, w czterdziestoletniej służbie publicznej posiwiiał, z prawości charakteru i odwagi cywilnej znany, cieszy się chlubnem w całej Polsce rozgłosem, a we Lwowie zażywa popularności wyjątkowej, ze wszech miar zasłużonej. Wyborcom publicznie oświadczył, że o mandat się nie ubiega, żeby nie narażać tych, którzy w jawnem głosowaniu nazwisko jego wymienia. Mimo to padło nań z górą 900 głosów. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Rewakowicz byłby przeszedł imponującą większością, gdyby się nie był powodował przesadną w tym wypadku skromnością i postawił kandydaturę swą otwarcie i stanowczo.

Nieraz już podnosiliśmy w piśmie naszym potrzebę stworzenia instytucji, któraby wzorem zagranicznych uniwersytetów ludowych w umiejętny, systematyczny sposób popularyzowała wiedzę wśród ogółu społeczeństwa. Obecnie mamy do zaznaczenia pierwszą pozytywną próbę na tem polu. Trzecie koło (jedno z najruchliwszych) Towarzystwa szkoły ludowej w Krakowie zorganizowało kilka seryj bezpłatnych wykładów, z których każda obejmie w szeregu odczytów całość pewnej gałęzi wiedzy. Wykłady odbywać się mają co niedzielę, zaś wieczory czwartkowe przeznaczono na pogadanki, których podstawą będzie treść ostatniego odczytu, a celem — wyjaśnienie wątpliwości, mogących się słuchaczom nasręczyć i dokładniejsze utrwalenie w pamięci rzeczy, usłyszanych na odczycie. Pierwszą seryj wykładów na temat »najważniejsze wiadomości z fizjologii ustroju ludzkiego« rozpoczął już dr. Józef Zanietowski, asystent wszechnicy Jagiellońskiej. Seryja ta obejmie sześć odczytów z demonstracyami. Następna poświęcona będzie wykładom z dziedziny prawa państwowego i politycznego, trzecia historii naturalnej, czwarta dziejom Polski. Udział w pogadankach połączony jest z drobną opłatą. O pomyślnym skutku tych usiłowań ani na chwilę wątpić nie można, powodzenie jednak będzie zupełne i trwałe dopiero wówczas, gdy za przykładem Krakowa pójdą inne miasta galicyjskie. Dla demokratycznie usposobionej inteligencji otwiera się wdzięczne pole pracy.

== *Sprawa pomnika Mickiewicza.* W Krakowie odbyło się dnia 14 października b. r. posiedzenie komitetu pomnika Mickiewicza, na którego czele stoi obecnie jako marszałek krajowy Stanisław hr. Badiński. Uchwalono przedewszystkiem ogłosić rachunki z funduszy, czyniąc tem

samem zadość żądaniu, wypowiedzanemu przez całe społeczeństwo i prasę co najmniej od lat dziesięciu. Sprawozdanie komitetu przyjmuje za podstawę obliczenia dzień 1 lipca b. r. i podaje z tą chwilą sumę *dochodów* w kwocie 159.776 złr. 74 ct. a łączną sumę *wydatków* 132.811 złr. 63 ct. Na pierwszą z tych kwot złożyły się (po potrąceniu bezwartościowych papierów na 500 złr.): 1) fundusze w wysokości 104.441 złr. 22 ct. zcentralizowane w kasie m. Krakowa z końcem 1885 roku, i 2) to, co od roku 1886 do 1 lipca 1896 przybyło, mianowicie a) w kapitale (z dalszych składek) 25.767 złr. 58 ct. i b) w procentach 30.067 złr. 94 ct. Wydatki rozdzielono w sprawozdaniu na następujące pozycje: 1) pierwszy konkurs (nagrody Dykasa, Celińskiego i Barącz) 5500 złr. 2) projekt Matejki (Wynagrodzenie Rygiera i Gadomskiego) 7950 złr., 3) drugi konkurs (nagrody Godebskiego, Rygiera i Gadomskiego) 5 500 złr., 4) zakupno dzieł Mickiewicza 4.914 złr. 95 ct. 5) podróże Rygiera do Florencji, członków komitetu na posiedzenia do Lwowa i konsumenta technicznego p. Stryjeńskiego do Włoch) 1050 złr., 6) przebieżka bruku z powodu fundamentów 29 złr. 98 ct. 7) koszt kontraktu (honorarium adwokata i należność skarbową) oraz nadzór techniczny 2668 złr. 15 ct., 8) fotografie, albumy, ogłoszenia, druki, korespondencje, transport medali na dwa konkursy, podróże sędziów, wydatki administracyjne i t. p. 4508 złr. 60 ct., 9) cokolwiek dodatkowy, granitowe ogrodzenie miejsca, na którym pomnik ma stać, 13.989 złr. 95 ct., 10) konkurs na kantatę 700 złr. wreszcie 11) wypłacono dotąd Rygierowi 86.000 złr.

Po odliczeniu wydatków od dochodów pozostaje przeto w dyspozycji komitetu zaledwie 26.965 złr. 11 ct., a nadto kaucya Rygiera w kwocie 4661 złr. 78 ct., którą wszakże rozporządzać nie można, bo jest ona własnością rzeźbiarza i służyć ma tylko na zabezpieczenie praw komitetu na wypadek, gdyby Rygier zobowiązań swoich nie dotrzymał.

Jeżeli zamiarowi podania owych rachunków do publicznej wiadomości przyklasną niezawodnie każdy, kogo sprawa pomnika Mickiewicza obchodzi, a kogożby nie obchodziła? — to z drugiej strony stwierdzić należy z ubolewaniem, że uczyniono to w sposób, który żadną miarą interesowanego ogółu zadowolnić nie może. Ogół ten liczy się przedewszystkiem z faktem, że z kapitału, składanego tyle lat z takim zapałem przez cały naród na uczczenie wieszca, pięć szóstych wydano, a pomnika jak nie było, tak nie ma. Wobec tego na gospodarzach funduszy pomnikowych ciężył większy niż kiedykolwiek obowiązek jak najdokładniejszego zdania z nich sprawy. Tymczasem w wykazach, przez komitet ogłoszonych, dokładności własnie dopatrzeć się niepodobna. Ujęto je w formę ogólnikową, która o istotnym stanie rzeczy nie daje należytego pojęcia. Jak w rubryce dochodów uderzająco niska cyfra narosłych przez lat jedenaście procentów niczem nie została wytłumaczona, tak znowuż między pozycjami wydatków jest kilka takich, które niejasnem swem, ogólnikowem brzmieniem mogą jedynie dać powód do komentarzy, dla komitetu wcale niepoehlebnych. Ze sprawozdania wynika n. p., że wydatki ściśle przygotowawcze pochłonięły już do tej pory około 30.000 złr. Bez dokładnych, szczegółowych wyjaśnień wydaje się to rzeczą, wprost trudną do uwierzenia. Na jak największej dokładności powinno było w pierwszym chyba rzędzie zależyć samemu komitetowi, jeżeli pragnął uchronić się od podejrzeń i zarzutów, może w gruncie rzeczy niesłusznych, wytłumaczonych jednak aż nadto ujemnem wrażeniem, jakie na każdym umyśle nieuprzedzonym sprawi musi komunikat tak ważny, a tak starannie unikający światła. Mniejsza zresztą o komitet, ale

zasadniczo rzecz biorąc, cały naród, który na pomnik się składał, ma prawo żądać ściślejszej i szczegółowej rachuby funduszów, ofiarnością publiczną stworzonych. Dziwi się tylko wypadka, że ogół prasy polskiej zachował się w tym wypadku tak obojętnie i nie poparł z wskazanym naciskiem żądania, jakie w tej mierze bardzo słusznie podniosła »Nowa Reforma«. Wszak nie o osoby tu idzie, ale o rzecz pierwszorzędną wagi, o pojęcie publicznego grosza, o zasadę, której bronić i strzedz jest obowiązkiem dziennikarstwa całego, bez względu na ścierające się w niem polityczne przekonania i prądy.

Drużga część ogłoszonego przez komitet sprawozdania jest niemniej interesująca, acz z innego powodu. Podano w niej główne szczegóły umowy, normującej dalszy stosunek z Rygiem. I tak obowiązuje się Rygiem: wykonać na nowo w gipsie w kolosalnej wielkości figurę Mickiewicza i boczną grupę »Nauka« — bez żadnego wynagrodzenia, — przesłać obie figury do Krakowa, poddać je ocenie komisji artystycznej, poczynić w nich wszelkie zmiany, jakich komisya zażąda, czuwać nad prawidłowym odlaniem figur w bronzie. Koszta transportu, odlewania i ustawienia na pomniku ponosi komitet. »Po dostarczeniu figur w gipsie — czytamy dalej — p. Rygiem otrzyma z wstrzymanych obecnie rat kwotę 9000 złr., po ustawieniu na pomniku figur tych, odlanych już w bronzie, kaucyę 5%, a w rok potem kwotę 5000 złr.« Jak to pogodzić z ową, kilka wierszy wyżej podkreśloną bezinteresownością artysty? Więc znowu zagadka, której urzędowy komunikat nie rozwiązuje, z której jedno tylko zdaje się wynikać, że, jak dobrze pójdzie, to i ta pozostałość kasowa, jaką komitet dziś jeszcze rozporządza, nie pokryje wszystkich wydatków, objętych odlaniem figur, dwukrotnym ich transportem, ustawieniem i tem, co — »bez żadnego wynagrodzenia« — weźmie w końcu Rygiem gotówką. Ciekawa rzecz, kto wtedy resztę dopłaci. Komitet zapewnia wprawdzie, że karykatura poety i boczna grupa »Nauka« obecnie na Rynku krakowskim pod budą się znajdujące, są własnością funduszu Mickiewicza, decyzya zaś, gdzie te już zrobione figury później po zastąpieniu je przez nowe umieszczone zostaną, jeszcze nie zapadła. Nie bierzemy na seryo tej wzmianki, podziwiamy jeno, wyrażając się grzecznie, dobry humor członków komitetu, siłacy się na tego rodzaju mizerne dowcipy w sprawie aż nadto dla całego narodu przykrej i oburzającej.

Na kilka dni przed posiedzeniem otrzymał komitet telegram od Rygiem następującej treści: »Model będzie ukończony w lutym, odlanie w bronzie trwać będzie cztery miesiące, inauguracya niechybnie we wrześniu. W najlepszym więc razie rok jeszcze czekać będziemy na odsłonięcie pomnika, przez ten czas historyczna buda nie przestanie zdobić Rynku krakowskiego. Pytanie tylko, czy to termin nieodwołalny i ostateczny. Widocznie nawet w łonie komitetu musiały się obudzić poważne pod tym względem wątpliwości, skoro w sprawozdaniu czytamy, że postanowiono wysłać do Rzymu delegata, któryby zbadał na miejscu stan robót, zdał komitetowi sprawę i wyszukał w Rzymie jakąś trzecią jeszcze osobę, zamieszkałą tam stale, do ciągłego pilnowania Rygiem. Sprawozdania tego oryginalnego kuratora mają być co miesiąc nadsyłane komitetowi i ogłaszane w dziennikach. Niedaleka przyszłość pokaże, czy ten środek bądź co bądź niezwykły a dla opinii komitetu o słowności artysty wysoce znamienity, odniesie skutek pożądany

Tyle co do samego sprawozdania, które nie podaje wszakże szczegółu najciekawszego. Oto w obradach komitetu brali udział oprócz marszałka Badeniego, dwaj tylko członkowie Juliusz Kossak i były przedstawiciel młodzieży dr. Leopold Jaworski, dwaj inni zaś hr. Raczyński i Sien-

kiewicz — jak się komunikat wyraża — »usprawiedliwili swą nieobecność«. Otóż pokazuje się, że Sienkiewicz »usprawiedliwił swą nieobecność« raz na zawsze, zrażony bowiem dotychczasową gospodarką pisemnie zawiadomił komitet, że z niego występuje. Obradujący trzej członkowie komitetu postanowili — rezygnacyi tej nie przyjąć. »Jest rzeczą wielce charakterystyczną, — pisze *Nowa Reforma* — iż o wniesieniu rezygnacyi oraz o jej nieprzyjęciu urzędowy komunikat komitetu wcale nie wspomina. Jesteśmy wyrazem opinii publicznej, w doniosłem znaczeniu tego słowa, zaznaczając, że takie załatwienie, krótko mówiąc, ukrycie ważnego tego faktu, jest bardzo niewłaściwe i pozostawia pole domysłom tego rodzaju, jakich bezwarunkowo unikać by należało. Sienkiewicz, występujący z komitetu, nie jest panem N. lub X., którego obecność lub nieobecność w tymże komitecie może być całkiem obojętną. Jest on człowiekiem najgłośniejszego w komitecie, a w całej Polsce dobrze znanego nazwiska, zatem czysto formalne załatwienie jego rezygnacyi i ukrywanie tego faktu, gdyby nawet skutkiem prób i perswazyj zechciał sam rezygnacyę cofnąć, nie może być właściwym i trafem. Obchodzi to nie tylko panów z komitetu, lecz całą Polskę, — dwóch zdań na tym punkcie być nie może, komitet zatem spełni swój obowiązek, ogłaszając w tej sprawie, jaki jest istotny stan rzeczy«.

Uwagi krakowskiego dziennika w zupełności podzielimy, choć w skuteczność końcowego apelu uwierzyć nam trudno. Naszem zdaniem powinienby głos silnego protestu wyjść raz jeszcze od młodzieży, pierwotnej inicjatorce pomnika, a głos jej powinien donośnym odbić się echem w całym narodzie. Niechaj ta młodzież, której wzniosły pomysł tak haniebnie skrzywiono, postara się o urządzenie publicznych wieców w Krakowie i innych miastach Galicji, niechaj na tych wiecach ogół społeczeństwa wypowie swe zdanie o komunikacie i praktykach komitetu. Może w ten sposób ostatecznie cała ta sprawa pomyślnego doczeka się wyniku.

Z KRESÓW.

Morawska Ostrawa, w Październiku.

Charakter miasta. Immigracya z Polski. Czytelnia polska. Kardynałna wada naszych czytelni. Bezpłatne czytelnictwo. Stosunki inteligencji polskiej z Czechami. Prawo korony św. Wacława.

Brak szkoły polskiej. *Kresowiec*. Pisma czeskie.

Miasto Ostrawa Morawska leży nad rzeką Ostrawicą, stanowiącą granicę pomiędzy Morawami a Księstwem Cieszyńskim w górnej części tego klina Moraw, który przedziela zachodnią, opawską połowę Śląska austriackiego od wschodniej czyli cieszyńskiej części. Ostrawa Morawska za pośrednictwem dwóch żelaznych mostów, przerzuconych przez rzekę, łączy się z Ostrawą Polską, wsią należącą już do Księstwa cieszyńskiego, do powiatu frysztackiego. Obie Ostrawy wraz z sąsiednimi miejscowościami, Przywozem i Witkowicami, tworzą jakby jedno duże miasto, rozciągnięte na długości kilkunastu kilometrów, obsadzone gęsto kominami mnóstwa fabryk i kopalni.

Właściciele ich — to Niemcy i Żydzi, w małej części Czesi; lud robooczy, oddający im swoją krawicę — to częściowo Morawianie i Czesi, częściowo Polacy ze Śląska lub Galicji. Przemysł tutejszy, coraz silniej się rozwijający, potrzebujący coraz więcej taniej siły roboczej, sprawił, że od lat kilku przypływ żywiołu polskiego trwa nieprzerwa-

nie i wzrasta stopniowo. Jak dawno już istnieje prąd emigracyjny z Polski do Ostrawy i jej okolic, określić trudno, bo nikt tem dotychczas się nie zajmował, wszakże istnieje zapewne od lat kilkunastu, jak sądzić można z tego, że jest w Ostrawie dosyć sporo Polaków, którzy już zdążyli się zniemczyć lub zczeszzyć zupełnie. Był to wszakże napływ stosunkowo niewielki i dlatego tak łatwo utonął w obcym środowisku; obecnie od lat kilku ilościowo ogromnie wzrósł i dlatego istnienie Polaków dość silnie już się zaznacza. Żałuję mocno, że nie mogę w obecnej chwili dostarczyć dokładnych danych o liczbie zamieszkujących tu Polaków, zrobię to może innym razem; liczą ich tutaj podobno na 8.000 głów, co stanowi ma jedną trzecią ogółu ludności. Główny zastęp — to robotnicy niewykwalifikowani, zajmujący podrzędniejsze stanowiska przy robotach, gdzie potrzeba jedynie siły fizycznej; dalej idą robotnicy wykwalifikowani, następnie rzemieślnicy różnych fachów, przeważnie jednak krawcy, szewcy i stolarze, a wreszcie inteligencya urzędnicza i techniczna. Adwokatów Polaków dotychczas niema tutaj, z lekarzy zaś, o ile mi wiadomo, jest tylko jeden Polak, i to nie w samej Ostrawie, lecz w sąsiednich Witkowicach. Jak widzimy, żywioł polski nie bardzo jednolity, społecznie i ekonomicznie znaczne dzielą go różnice, poczynając od nieumiejącego czytać proletaryusza chłopa z Galicyi do inżyniera, pobierającego kilka tysięcy guldenów płacy rocznej. Dlatego też dziwić się nie można, że ogół Polaków, tutaj pracujących, nie idzie spodem, nie tworzy jednego ciała, jak tego pragną tutejsi ideolodzy. Trudno wymagać, aby proletaryusz robotnik szedł ręką w rękę ze sztygarem lub inżynierem i miał do nich zaufanie, jeśli on widzi w nich narzędzia wyzysku kapitalistycznego.

Istniejąca tutaj od paru lat »Czytelnia polska«, której celem zespolić całą ludność polską w Ostrawie, wzięła zadanie na siebie, którego nigdy nie spełni i spełnić nie może. Mówią, że posiada do 500 członków, ale jest to rzecz wprost niemożliwa, skoro lokal zazwyczaj pusty każdego wieczora. Być więc może, że tyluż ludzi przewinęło się przez jej spisy od chwili założenia, ale większość z nich nie płaci wkładek i za członków przeto uważać ich nie można. Założyli czytelnię Galicyanie (przeważnie z nazwiskami o brzmieniu niemieckiem), ludzie bez wątplenia dobrej woli, ale bez zdolności do utrzymania się w roli kierowników tak licznej i niejednolitej kolonii. Czytelnia ta urządziła parę razy uroczystości dość głośne, raz nawet na obchód rocznicy pierwszej istnienia sprowadziła z Krakowa znaną *Harmonię*, która zrobiła sensację swoim umundurowaniem i rozbudziła chwilowy entuzjazm melodyami patryotycznymi, ale poza tem niema tutaj tej pracy ciągłej, wytrwałej i racjonalnej, która stanowić powinna główne zadanie. Zapewne, nie bez znaczenia są wieczorki, wokarno-deklamacyjne lub teatralne, urządzane od czasu do czasu przez miejscowe siły, albo gościnne występy amatorów z niedalekiej Karwiny (na Śląsku), lecz to ma wpływ na niewielkie koła bardziej do Czytelni zbliżone, masy zaś tego nie widzą, nie słyszą i pozostają obce tym zacytnym, lecz nie dość praktycznym usiłowaniom.

Mojem zdaniem błąd główny polega na tem, że zapomina się, iż czytelnia każda przedewszystkiem czytelnictwo rozbudzić wśród ludności powinna i tak je zorganizować, aby ono objęło możliwie prędko ogół ludności. Zakładanie czytelni w dotychczasowej ich formie, czy to w Galicyi, czy to na Śląsku, nigdzie nie doprowadziło do rozbudzenia w większym stopniu czytelnictwa. Lud polski ma bardzo słabo rozwinięty popęd do stowarzyszania się (?) jest to oznaką niskiego stopnia kultury. Trzeba go gwałtem niemal ciągnąć, aby został członkiem jakiejś np. czytelni.

Nawet na Śląsku, który pod tym względem wyżej stoi od Galicyi, to samo daje się zauważyć, istnieje tam odpowiedni termin, dobrze istotę rzeczy malujący: »dał się zapisać na członka«, nie zaś »zapisał się na członka«. Otóż taki prostak, który »dał się zapisać«, bez inicjatywy, bez świadomości, co przez stowarzyszenie zrobić można, gdy po pewnym czasie przeczyta tych kilkanaście książeczek, jakie czytelnia posiada, gdy widzi jej biedę, ogólną obojętność, zniechęca się sam również i nie upatrując dla siebie żadnego interesu, »dziękuje z czytelni« czyli usuwa się, najczęściej niezapłaciwszy zaległych wkładek. Do rozbudzenia więc życia narodowego zaczynać od czego innego należy, albo raczej od tego samego t. j. od czytelni, ale w inny sposób urządzanej. Nie mogę się tu wdawać w szczegółowy opis tego, bo i tak dosyć odbiegłem od rzeczy, powiem tylko, że chcąc wzbudzić czytelnictwo w prawdziwym tego słowa znaczeniu, trzeba zakładać instytucje tego rodzaju, jakimi są od półtora roku istniejące wypożyczalnie bezpłatne w Krakowie Tow. szkoły ludowej, przystępne dla wszystkich bez żadnych wyjątków, których rozwój szybki zdumiewać musi każdego.

Czytelnia w Morawskiej Ostrawie powinna pójść za tym wzorem i urządzić czytelnictwo w ten sam sposób, a skutki dobroczynne nie każą na siebie długo czekać. Od ludu naszego nie można wymagać tego, czego nawet przeciętny inteligent nasz nie posiada, t. j. popędu do łącznego działania, a tymbardziej patryotyzmu, gdy ciężka praca fabryczna lub kopalniana zwraca wszystkie myśli (jeśli ich nie zabija) do tego, aby w położeniu tem ulgę jakąś znaleźć. Ale zorganizowawszy racjonalne czytelnictwo, wzbudziwszy w ludzie pracującym zamiłowanie i interes do książek, możemy tą drogą wykształcić w nim wszystkie te przymioty, jakie dla normalnego rozwoju narodowego najbardziej są potrzebne. Od tego przedewszystkiem zaczynać należy. Odczyty, jakie tu specjalny komitet miał urządzić, są również bardzo pożądane, o ile będą treści odpowiedniej, ale to już stać powinno na drugim planie.

Czytelnia w Morawskiej Ostrawie, założona przez inteligencyę patryotyczną, ma swój specyficzny charakter, który odręczać od niej musi żywioły robotnicze, innym hasłem hołdujące. Nie można się spodziewać, aby wstąpił do niej człowiek, który trzyma z obozem socjalno-demokratycznym lub socjalista-chrześcijański, zwolennik ks. Stojakowskiego. Ani jeden, ani drugi nie robi tego, choćby nawet chciał, bo naraziłby się na ostracyzm ze strony towarzyszy. A oprócz nich, wśród Polaków ostrawskich ileż setek zniemczonych majstrów, lub trzymających z Czechami, którzy za nic do Czytelni polskiej nie wstąpią. Ilek wreszcie ludzi, którzy zupełnie na uboczu stoją i nie więcej poza swoim ciężkim zawodem i odpoczynkiem w knajpie nie widzą. Od nich do Czytelni odległość niezmierzona. A wreszcie, czyż Czytelnia byłaby w stanie ich wszystkich skupić?

Tymczasem książka polska, wypożyczana bezpłatnie, trafi do każdego z nich, dotrze nawet tam, gdzie przez długie jeszcze lata żadne światło nie przedarłoby się wcale. Dotrze tam nawet, gdzie już polskiego języka nie używają i powróci Polsce tych, którzy od niej odpadli przez własną ciemność i słabość. A jest ich niemało w Ostrawie Połowa nazwisk na firmach rzemieślniczych — to nazwiska polskie, tylko w pisowni niemieckiej lub czeskiej i to nie tylko w Ostrawie Morawskiej, ale i w Polskiej, oraz w Przywozie i w Witkowicach. To pole do działania szerokie. Pomiędzy firmami polskimi tylko 3 znaleźliśmy z napisami po polsku. Smutne jest to dla nas świadectwo. Rzemieślnicza rzesza z miasteczek galicyjskich

— to słaby nadzwyczaj żywioł pod względem narodowym. Parę lat wystarcza na jego wynarodowienie.

Stosunki Polaków tutejszych, a właściwie inteligencji polskiej, z Czechami są fatalne. Nienawiść obopólna nie pozwala na żadne zbliżenie. Każda strona składa winę na przeciwnika, każda z nich uważa się za pokrzywdzoną, żadna ręki pierwsza do zgody wyciągnąć nie zechce. Czesi wymyślają na Polaków, że ci trzymają z Niemcami, Polacy oskarżają Czechów o czyny najpodlejsze, które zagrażają drogę do porozumienia. Wybory do rady gminnej, odbyte w czerwcu, ogromnie rozburzyły namietności obu stron.

Zdaniem mojem w warunkach, jakie tu istnieją, a bardzo są one zbliżone do tego, co dzieje się na Śląsku, przymierze z Niemcami, a zwłaszcza z liberałami, dla Polaków nie jest właściwem, jeśli zaś z Czechami porozumienie nie możliwe, najlepiej jest w takim razie zachować politykę »wolnej ręki«. I gdyby jeszcze spółka z Niemcami opłacała się! Ale Polacy tutejsi, jak wszędzie zresztą, są bardzo mało wymagający: za pomoc okazaną Niemcom, otrzymali tylko jeden mandat radcowski z liczby dziesięciu. To też Niemcy, wygrawszy dzięki im kampanię wyborczą, nie mogli się dość nachwalić Polaków. Za to Czesi się wściekali.

Z Czechami trzymać istotnie jest trudno. Wszystkie ich stronnictwa, zarówno radykalne, jak i konserwatywne, w polityce nie gardzą środkami niemoralnymi. Każde z nich prowadzi politykę najwyraźniej zabobną, najlepiej to widzieć na Śląsku. Mówią o sprawiedliwości, o równouprawnieniu i t. d., ale nigdy nie zapomną zaznaczyć, że pierwszym artykułem ich wiary politycznej jest obrona bezwzględna »nieprzedawnionych praw korony św. Wacława«. Stąd starcia ich z Polakami na Śląsku, którzy przecież nie mogą pozwolić na to, aby jakaś zasada quasi-historyczna rozstrzygała tam, gdzie lud polski sam rozstrzygać jedynie ma prawo.

Lecz z Ostrawą Morawską ma się rzecz nieco odmiennie. Tu grunt, bądź co bądź, nie jest już polski, chociaż dawniej ludność tutejsza mówiła niemal tym samym językiem, co śląska. Czesi więc ogromnie się złoścą, że Polacy wdzierają się w ich terytorium. Ale cóż Polacy temu winni, że istnieją pewne prawa ekonomiczne, przed którymi prawo korony św. Wacława ustępować musi? Temu przeszkodzić nie można, że lud roboczy z Polski, mając mniejsze wymagania wypiera Czechów na zachód i kroczy w kierunku granic, oznaczonych ongi słupami przez Bolesława Chrobrego. To parcie jest silniejsze ponad wszelkie dążności, oparte na »prawie historycznym«.

Polacy zamierzają tu z czasem otworzyć szkołę polską dla tych setek dzieci, które obecnie uczyć się muszą w szkołach niemieckich i czeskich. Istotnie, potrzeba to jest nagła i ważna, ale kiedy się uda sprawy tej dokonać, przewidzieć trudno. W każdym razie upłynie jeszcze sporo lat, bo dopiero przed kilku miesiącami pieniądze zbierać rozpoczęto, a dotąd jest ich tak mało, że nawet nie chcą ogłaszać tego w gazetach, aby sprawy nie podawać w posmiewisko, zwłaszcza wobec Czechów, którzy w takich wypadkach działają szybko i z wytrwałością nadzwyczajną.

Rzecz warta zastanowienia, czy nie byłoby bardziej racjonalnem i praktycznijszem sprawę szkoły polskiej przeprowadzić za pomocą rady miejskiej. Jeśli Niemcy tak kochają się z Polakami, toby powinni tę miłość swoją uświęcić założeniem oddzielnej szkoły polskiej, lub uformowaniem polskich klas równoległych. Gdyby zrobili to ustępstwo, wtedybyśmy widzieli interes w utrzymywaniu z nimi przymierza. Ale Polacy nie powinni oddawać się tym złudzeniom i wytrwale dążyć im należy do pozyskania w radzie miejskiej wpływów, odpowiadających ich stanowisku ilości-

wemu. A stanowisko to z każdym rokiem wzmacnia się, gdyż żywioł polski wzrasta liczebnie.

Oprócz Czytelnicy, która życia wielkiego nie okazuje, Polacy tutejsi mają od wiosny drugi czynnik, który ma rozbudzać ducha narodowego i bronić sprawy polskiej. Czynnikiem tym jest *Kresowiec*, piśmko od kwietnia wychodzące w odstępach dwutygodniowych. Z wydanych dotychczas numerów rokować nie można wielkich z niego nadziei. Rzecz to nadzwyczaj nieudolnie prowadzona, nie objawiająca najmniejszych śladów żywotności. Chęci jak najlepsze, tego nie zaprzeczam, — lecz wykonanie nad wyraz niezadawalające. Siły redaktorskie nie odpowiadają zadaniu, oni pod względem treści, ani pod względem nawet ortografii. Język haniebny — treść pospolita. Redakcja nie zdaje sobie dobrze sprawy z tego, czem piśmko to ma być, dla kogo jest drukowane. Kronika miejscowa nadzwyczaj uboga, w niektórych numerach po prostu niema nic, chociaż stosunki dostarczyć by mogły dużo materiału ciekawego.

Piśmko, wydawane tutaj, gdzie ludność polska jest przeważnie robotniczą, powinno mieć głównie tę sferę na względzie, tymczasem dowiadujemy się co najwięcej o wypadkach przy pracy i to tylko dorywczo notowanych. Poza tem absolutnie nic. A szkoda! Bo takim, jakim jest obecnie, ludność robotnicza nie interesuje się wcale. Tylko w tem właśnie kwestya, czy innem być może, skoro wydają je ludzie, zależni od wielkich baronów przemysłowych. Ta zależność zapewne powstrzymuje redakcyę od szczerości, ba, nawet od podejmowania spraw, z życiem robotnika mających związek. Nadmieniam również, że właścicielem *Kresowca* jest Niemiec, drukarz Kittl.

Redakcja przecie zrozumieć to powinna, że na samej inteligencji opierać się *Kresowiec* nie może, bo jest jej zamało, zresztą trzyma ona zwykle pisma galicyjskie; *Kresowiec* obecny nie zadawalnia inteligencji, ani robotników, jeśli więc nie ma zemrzeć, powinni wydawcy postarać się o większe zasoby materialne, następnie o lepsze siły redaktorskie, mogące uczynić piśmko żywotnem i interesującym, a reszta sama się robi.

Czesi tutaj mają pism kilka. Najważniejsze z nich są trzy: socjalistyczny »Nazdar« i narodowe »Ostravice« i »Nasze Otázky« (Nasze sprawy). Pierwszy z nich jest organem fachowym czeskich stowarzyszeń górniczo-hutniczych »Prokop« i bardzo jest rozpowszechniony, nawet pomiędzy Polakami, nie tylko na Morawach, ale i na Śląsku. Redakcyę »Nazdaru« jest ogniskiem, skupiającem wszystkie gorętsze żywioły robotnicze miasta i okolicy. Kto był choć raz w jej lokalu, n. p. w niedzielę przed południem i widział te gromady, jakie tam ściągają dla porady i wymiany myśli, poskarżenia się na krzywdy i wyzysk, nabycia gazet i broszur i t. p. i porównał to z ciszą i martwością, panującą w redakcyi *Kresowca*, ten łatwo pojmie, jak i co robić należy, aby w te masy ludu roboczego tchnąć życie i pobudzić je do działalności i samoobrony. Socjaliści czescy już sprostregli, że sami z tą masą ludu polskiego nie poradzą i coraz częściej uciekają się do pomocy socjalistów krakowskich. Odbywają się tutaj kilka razy do roku zgromadzenia ludowe, na których oprócz czeskich przemówień zwykle bywa jedno lub dwa polskie. Lud chętnie uczestniczy na te zgromadzenia. Z dotychczasowego zachowania się inteligencji polskiej w Ostrawie trudno wnosić, aby poszła za tym przykładem i rozpoczęła polityczną pracę nad ludem w sposób podobny. Jeśli zaś tego robić nie będzie, wpływu na lud polski nigdy nie pozyska.

Cieszymir.

Zajście w gimnazjum mitawskim. Gazeta toruńska podaje ciekawą wiadomość o starciu młodzieży z władzą szkolną w Mitawie:

»W gimnazjum w Mitawie, istniejącem od roku 1775 r., w którym przeważa liczba uczni katolickich nad uczniami innych wyznań, istniał od dawna zwyczaj, że przed rozpoczęciem lekcji odmawiano modlitwę: uczniowie prawosławni wobec popa po rosyjsku, ewangelicy wobec pastora po niemiecku, a katolicy z księdzem, nie już po polsku, ale po łacinie. Otóż tymi czasy przyszło rozporządzenie, aby ksiądz z uczniami katolickimi odmawiał modlitwę po rosyjsku; ksiądz się oparł, wyszedł z sali gimnazjalnej, powiedziawszy, że modlitwy w rosyjskim języku odmawiać nie będzie. Wtedy weszli do sali, gdzie byli zebrani katolicy, dyrektor, inspektor i profesor Polak, Miecznikowski. Dyrektor zbliżył się do jednego z uczni 3 klasy i rozkazał czytać mu modlitwę po rosyjsku; uczeń odmówił. Wtedy robi się awantura; ucznia wydalają natychmiast z gimnazjum. Inni uczniowie katolicy umawiają się, że nazajutrz, kiedy prof. Miecznikowski zacznie czytać modlitwę po rosyjsku, wszyscy wyjdą z klasy. Jak postanowili, tak się i stało. Gdy nazajutrz prof. Miecznikowski, wobec dyrektora i inspektora, chciał odczytać modlitwę w języku rosyjskim, powstał krzyk uczniów wszystkich w klasie, że po rosyjsku modlić się nie będą. Dyrektor wściekły, przyskakiwał podobno do każdego ucznia z osobna i pytał, czy będzie mówić modlitwę po rosyjsku: wszyscy studwudziestu pięciu bez wyjątku odpowiedzieli, że nie, chwycili książki i czapki i, gwizdząc, wybiegli z klasy, chcąc opuścić gimnazjum, ale zastali drzwi zamknięte. Hałas się wzmacnia, uczniowie chcą koniecznie gimnazjum opuścić. Dyrektor i profesorowie zaniepokojeni tracą głowę i nie wiedzą już co robić. Wtedy prof. Mieczn. radzi sprowadzić księdza, który od kilku dni już wcale do gimnazjum nie chodził, żeby uczni uspokoili. Ksiądz przyszedł i po parogodzinnej rozmowie z dyrektorem oświadczył, że nie na to poradzić nie potrafi; *non possum* wyrzekł i wyszedł z gimnazjum. Zatelegrafowano o tem zajęciu do kuratora, kurator do ministra, Obawiano się, czy gimnazjum nie zostanie zamknięte. Tymczasem nadszedł telegram od ministra, którego treści jednak nie mamy, po którym zaraz dyrektor zaczął usprawiedliwiać się wobec uczni, że zbyt gwałtownie sobie postąpił rozkazując odmawianie modlitwy po rosyjsku, że teraz pyta się spokojnie: czy zechcą odmawiać modlitwę w tym języku. Gdy wszyscy jednak odpowiedzieli przecząco, wtedy oznajmił, że tymczasowo katolicy wcale modlitwy przed lekcjami mieć nie będą. Obecnie jest między uczniami spokojnie, ale co z tego wypadnie, i jak się ta historia zakończy, przewidzieć trudno.

Nie mając własnego o tem zajściu sprawozdania, podajemy je za pomienionem pismem, dodając tylko niektóre szczegóły, charakteryzujące warunki, w których rzecz się rozegrała.

Masto Mitawa, stolica dawnej Kurlandyi, pozostającej w lenniczej zależności od Polski, a dziś główne miasto gub. kurlandzkiej, leży zaledwie o pięć mil od granicy Litwy (dziś gub. kowieńskiej). Skutkiem tego znaczna część ziem polskich ciąży ku niemu, między innymi kształci się w niem od wielu lat pewna ilość naszej młodzieży obojga płci. W ostatnich czasach skutkiem prześladowania młodzieży w gimnazyach okręgu wileńskiego ogromnie zmniejszyła się liczba uczniów gimnazjalnych w Kownie i Szawlach, a natomiast dzieci, pochodzące z gub. kowieńskiej, zaczęto oddawać przeważnie do gimnazyów w Mitawie i Libawie, gdzie dziś katolicy stanowią blisko połowę ogólnej liczby uczniów, pomimo, że ludność Kurlandyi zarówno łotewska, jak niemiecka, jest protestancka. Zwłaszcza zruszenie tych

gimnazyów, w których do niedawna wykładowym językiem był niemiecki, wywołało masowy napływ dzieci włościan żmudzkich, dla których przedtem nieznanomość języka niemieckiego stanowiła wielką przeszkodę.

— *Polacy w gubernii smoleńskiej.* Od kilkunastu lat Polacy, pozbawieni prawa nabywania ziemi »w kraju zabranym«, kupują często majątki i osiadają w pogranicznych guberniach rosyjskich: w pułtawskiej, czernichowskiej, zwłaszcza zaś w chersońskiej i smoleńskiej, które nie są dla nas zupełnie obce, bo niegdyś przecie do Polski należały. Z dawnych czasów pozostała tam nieliczna już dziś ludność polska. W *Wileńskim Wiestniku* znajdujemy kilka szczegółów, dotyczących »najścia« przez Polaków gubernii smoleńskiej. Wzrost polskiej własności ziemskiej zauważył się głównie daję w dwóch powiatach — porzeckim i krasieńskim. W samym Smoleńsku mieszka co najmniej 3, a jak niektórzy liczą 5.000 katolików, w ogromnej większości Polaków, należących do różnych warstw ludności. Żywioł polsko-katolicki wzmacnia się szybko i w ostatnich latach w gimnazjum miejscowem oraz w szkole realnej słyszeć można często — bodaj częściej niż w Warszawie, gdzie jest zakazana — mowę polską. Niezamożna ludność polska, zajmująca się handlem i rzemiosłami, mieszka przeważnie na przedmieściu, zwanem »Słobodą sołdacką«.

Oprócz Polaków osiadają w gubernii smoleńskiej w znacznej liczbie Żydzi, pochodzący z kraju zabranego, którym w Rosyi właściwiej mieszkać nie wolno. Żydzi opanowali handel kramarski, a teraz stopniowo zagarniają inne gałęzie handlu, wypierając kupców rosyjskich. Polityka rządu, ograniczająca prawa Polaków i Żydów, wytworzyła ten ruch ludności z kraju zabranego ku kresom wschodnim, ale prasa rosyjska, nie zadowolona z tej emigracji »żywiołów niebezpiecznych« nie innego oprócz nowych zakazów wymyśleć nie umie.

Z WYCHODZTWA I KOLONIJ.

— *Jeszcze o kongresie katolickim.* W numerze poprzednim podaliśmy krótką wiadomość o kongresie katolickim w Buffalo i o uchwale, nieprzychylniej dla Związku narodowego, obecnie, na podstawie sprawozdań pism polsko-amerykańskich, dołączamy kilka szczegółów znamienych.

Nie będziemy mówili o wnioskach, opracowanych i uchwalonych w komisjach, bo jakkolwiek przedmiotem ich są sprawy ważne np. polepszenie szkół, dom emigracyjny, seminaryum nauczycielskie, parafie niezależne i t. d. nie zawierają one żadnych postanowień praktycznych, zasługujących na szczególną uwagę i mają być ponownie poruszone na przyszłym kongresie polsko-katolickim, który zbierze się w Chicago, w r. 1898. Kierownicy kongresu lekceważyli te sprawy, bo głównem zadaniem kongresu było dla nich potępienie działalności Związku i uchwalenie petycji do Rzymu o mianowanie biskupa polskiego.

Najwięcej czasu zajęła i wywołała burzliwe zajścia sprawa Związku narodowego polskiego. Jakkolwiek nie dopuszczono do udziału w obradach delegatów, prawnie przez towarzystwa kościelne wybranych, ale należących do Związku, okazało się jednak, że nawet większość księży, obecnych na kongresie, jest usposobioną przychylnie dla

tej organizacyi narodowej. Zwłaszcza prawie wszyscy młodzi księża w obronie Związku przemawiali. Dwie rezolucye, potępiające Związek narodowy, znaczną większością głosów odrzucono, chociaż ks. Pitas, inicjator i główny kierownik kongresu wszelkich starań dokładał, żeby je przyjęto. Kilkudziesięciu delegatów, z ks. Wójcikiem na czele, zaprotestowało przeciw przyjęciu jakiegokolwiek uchwały, potępiającej Związek. Kiedy zarządzono głosowanie nad trzecią uchwałą, wniesioną przez ks. Szymanowskiego, która w zasadzie Związku nie potępia i właściwie nie zakazuje przystępowania do niego, ale radzi katolikom, żeby instytucyi tej nie popierali, dopóki kierownictwo jej i program nie zostaną zmienione w duchu dla kościoła przychylnym — zaraz z początku można było spostrzedz że i ten wniosek nie uzyska większości. Wówczas przeciwnicy związku zaczęli ciągnąć delegatów za sutanny za swoją stronę, wymyślać im w sposób karczemny i grozić pięściami. Kto wie, czy nie doszłoby do bójki, gdyby nie wystąpił jako pośrednik ks. Wawrzyniak, który w spokojnem przemówieniu oświadczył się za rezolucyą ks. Szymańskiego, bo tak, zdaniem jego, Związkowi nie szkodzi leż żąda jedynie, żeby nie występował przeciw kościołowi. Większość, widząc, że niema należytej swobody ani w przemawianiu, ani w głosowaniu, i nie chcąc narażać się na brutalne napadki, zgodziła się w końcu na tę rezolucyę pośrednią.

Pisma związkowe oburzają się na ks. Wawrzyniaka za jego pośrednictwo, zaznaczając słusznie, że wystąpienie poważnego gościa ocaliło od porażki obóz inicjatorów kongresu. Trudno sądzić z oddali, zdaje nam się jednak, że można zrozumieć wystąpienie ks. Wawrzyniaka bez przypisywania mu powodów osobistych i nieuczciwych. Jako ksiądz chciał on zapobiedz sromotnej klęsce tej części duchowieństwa, która — szczerze czy nieszczerze, to inna sprawa — występuje jako stronnictwo, broniące praw kościoła i ściśle katolickie, chciał zapobiedz możliwemu zerwaniu kongresu i otwartej waśni między duchowieństwem, któraby potem nastąpić musiała. Przyjechał on do Ameryki w charakterze pośrednika, w celu załagodzenia rozterek nie zaś ich podsycania i zgodnie ze swem zadaniem postąpił, chociaż może lepiej byłoby dla sprawy i dla niego, gdyby nie podejmował się niewdzięcznej roli, w której obu stron walczących nie zadowolnił.

Bądź co bądź, uchwała, przyjęta na kongresie, jest zwycięstwem sprawy Związku narodowego, chociaż pobity przeciwnik, jak zwykle w takich wypadkach bywa, stara się porażkę swoją zamaskować. Nie jest to zwycięstwo stanowcze, jakim łatwo stać się mogło bez wystąpienia ks. Wawrzyniaka, ale kto wie, czy w dalszych skutkach taka połowiczna wygrana nie okaże się właśnie korzystniejszą. Nie należy nigdy doprowadzać przeciwnika do ostateczności, jeżeli nie można zgnieść go i zetrzeć w proch, a przeciwnicy Związku zbyt są silni, żeby można było myśleć o zupełnem ich zniesieniu.

Druga sprawa, zajmująca żywo inicjatorów kongresu, poszła również nie po ich myśli. Ks. Pitas i jego adherenci ułożyli sobie, że zebrani na kongresie księża wysłają delegacyę do Rzymu z prośbą o mianowanie polskiego biskupa, a właściwie o osadzenie księdza Polaka na opróżnionej katedrze biskupiej w Buffalo. Ma się rozumieć, w takim razie upatrzonym kandydatem był ks. dziekan Pitas, mieszkający w Buffalo i posiadający tam znaczne wpływy. Tymczasem na kongresie przeważało zdanie, że uzyskanie biskupstwa dla polskiego księdza jest teraz niemożliwem, natomiast postanowiono starać się o ustanowienie sekretarza do spraw polskich przy delegacie papieskim w Washingtonie. Kontrola takiego sekretarza okaże się niedogodną szczególnie dla tych księży, którzy właśnie kongres zwołali

i w obozie katolickim rej wodzą. I w tej więc sprawie ponieśli porażkę.

Zapadła jeszcze na kongresie uchwała, w sprawie t. zw. kościołów »niezawisłych«, które wezwano do nawrócenia się; szkoda jednak, że nie zbadano przyczyn tego rozłamu, bo wyjaśniłoby się, że główna wina spada na księży. Jednocześnie z kongresem katolickim odbył się również w Buffalo sejm »niezależnych«, na którym ustanowiono łączność między parafiami w celu wzajemnej pomocy i obrony i wybrano na biskupa, czy też na kandydata na biskupstwo niezależne ks. Stanisława Kamińskiego.

PRZEGLĄD PRASY.

== Korespondent paryski przytacza dowcipną rozmowę znanego dziennikarza francuskiego Mirbeau z prezydentem izby Brissonem w sprawie Polaka Pacewicza, którego podczas pobytu cara bez powodu uwięziono. Ma się rozumieć, jest to rozmowa przez Mirbeau wymyślona.

„Mirbeau czyni Brissonowi wzmiankę o Pacewicu. Brisson zapytuje go, czy to nie minister rosyjski, a na odpowiedź, że to Polak, oburza się. „Dla czego nie jest Rosyaninem? Po co odznaczać się nie przyzwolitą oryginalnością i nie być tym, czem wszyscy jesteście? Podawać się za Polaka, to rzecz zupełnie nierozsądna, niemożliwa. Dziś już Polaków nie ma“

„Mirbeau przedstawia mu, że bezprawnie aresztowano Pacewicza i że zamknięto go wśród złodziei i waryatów. „Dziwni są ludzie! odpowiada Brisson. Z kim chcą siedzieć w kozie, czy z książętami, z biskupami?“ Mirbeau przypuszcza, że Pacewicz skargę poda do izby. Brisson tłumaczy, że jako prezydent nie ma osobistego zdania. „A jako człowiek“. „Jako człowiek? Człowiekiem nigdy nie był, byłem zawsze czemś więcej, deputowanym, ministrem, prezydentem izby; człowiekiem nigdy. Jako stary, nieugięty i radykalny republikanin, mogę jednak wyznać, że nieszczerne podanie się za Polaka usprawiedliwia wszelkie środki ostrożności. powzięte w imieniu bezpieczeństwa społecznego przeciw Pacewiczowi“.

== Dzienniki niemieckie wciąż jeszcze piszą o sprawie polskiej, a raczej o tem, jaką powinna być polityka rządu względem Polaków. Na szczególną uwagę zasługuje artykuł, zamieszczony w *Kölnische Volkszeitung*, określa bowiem stanowisko, jakie zajmuje centrum w sprawie polskiej.

„Różne pisma, stojące na usługach stronnictw kartelowych: „Post“, „Börsenzeitung“ i „Nationalzeitung“ wypowiadają znowu jakby na komendę wojnę Polakom. „Post“ podszczuwa przeciw duchowieństwu katolickiemu, wywodząc, że szlachta polska nie jest już tak niebezpieczną i nie posiada już pomiędzy Polakami kierownictwa, które przeszło w ręce kleru. „National Ztg.“ wraca do starej swej, ukojonej szkoły symultannej, która wydaje jej się najlepszą bronią przeciw Polakom. „Börsen Ztg.“ wreszcie robi tajemniczą minę i pozwala się domyślać, że rząd wypowie niebawem Polakom stanowczą wojnę“.

Wpływowy organ centrum taką daje odpowiedź:

„Nie możemy uważać rządu za tak nierozsądny, aby mógł mieć podobne zamiary. Samo już zatwierdzenie sojuszu francusko-rosyjskiego powinno go od tego powstrzymać. Co-kolwiek bądź można sądzić o uroczystościach paryskich, to pewna, że dodały Francuzom otuchy i przez to zbliżyły niebezpieczeństwo wojny. Tylko wielki nierozsądek i wysoce wybujały fanatyzm mogłyby nas skłonić do szykanowania Polaków właśnie w tej chwili do tego stopnia, żeby musieli powiedzieć sobie: „To Rosyanie jednak lepsi od Prusaków!“

Że grozi nam niebezpieczeństwo od półtora miliona Polaków, to można mówić sześciolatniom dzieciom, ale nie ludziom poważnym. Główny organ liberałów niemieckich, „Pos. Ztg.“, sam przecież szaydzi z „braci niemieckich“, którzy dziś chcą „uratować“ Poznań, jak w roku 1864 Szlezwig i Holsztyn. Na przypadek wojny z dwuprzymierzem sympatyje Polaków wielkieby dla nas miały znaczenie, ogólna liczba Polaków wynosi przecież około 15 milionów.

„Miarą uczuć, jakie żywią ku nam Polacy pozanie-mieccy, jest sposób, w jaki obchodzimy się z ich rodakami w Prusach. Dla tego cieszy się Austria, gdzie obchodzą się z Polakami zupełnie „parytetycznie“, stawiając ich zupełnie na równi z innymi narodowościami — sympatją wszystkich Polaków. Czas, kiedy można było wynaradawiać wielkie plemiona, minął bezpowrotnie. Nie zgermanizować lecz tylko szyskanować możemy naszych Polaków! I to ma być polityczne! Jest to po prostu głupstwem, jeżeli się twierdzi, że w państwach nieodzowną jest jednolitość językowa.

Dziennik katolicki sądzi, że jeżeli Polacy marzą o odbudowaniu swego państwa narodowego, to dla tego, że są uciskani. Wreszcie i w naszych czasach, »zatrutych jadem polityki interesów« trzeba niekiedy zwracać uwagę na zasady prawa i sprawiedliwości.

„Baltów zaczęto dopiero tak uciskać, gdy Prusacy dali Rosyanom „dobry przykład“; bo w roku 1886 rozpoczął Bismarck „nowy kurs“ swej polityki polskiej, a zaraz w roku następnym przysłał w prowincjach nadbałtyckich właściwą „heca antyniemiecką“. Wydalano pastorów protestanckich, znoszono szkoły niemieckie, aż wreszcie zmoskwiezono uniwersytet dorpcki i nawet starą nazwę Dorpat zmieniono na Juriew. Na skargi pism niemieckich odpowiadała prasa rosyjska ironicznymi wskazówkami na Poznań, a to samo muszą słyszeć Niemcy Siedmiogrodu od organów liberalizmu madziarskiego“.

Berl. Börs. Zeitung pisze o polityce rządu względem Polaków

„Musi to być polityka, która z góry wytyka sobie cel jasny i łączy do niego konsekwentnie, bez względu na ten lub ów projekt prawny, a choćby zupełnie bezwzględnie. Dalej trzeba jednakże zdać też sobie jasno sprawę z tego, że środkami odpornymi samymi nie się nie zdziela. Tylko środki zaczepne w tak ciężkiej walce mogą skłonić silnych do wytrwania, niepewnych do oporu, renegatów do zwrotu. Jeżeli rząd z góry nie postanowi prowadzenia takiej polityki, to lepiej niech jej wcale nie będzie“.

„A więc niech jej wcale nie będzie — kończy *Kölnische Volkszeitung* — bo to żądanie jest niedorzecznością. Centrum opierałoby się tej polityce zaczepnej wszystkimi siłami, jak jeden mąż. Jeżeli przy obradach nad kodeksem tak dalece liczyliśmy się z interesem państwa, że doszliśmy do ostatecznego kresu ustępstw na które kościół zezwolił może — to niechaj nikt nie sądzi, że będziemy popierali politykę jawnego, niegodnego bezprawia, politykę ucisku i prześladowania“.

Można, powiada dziennik koloński, spierać się o uchwalanie funduszków na budowę okrętów lub na podwyższenie pensji landratów, bo nie są to sprawy zasadnicze.

„Ale myśl polityki zaczepnej przeciwko Polakom dla nas nie może być wcale przedmiotem dyskusji. Kiedy minister Puttkamer w roku 1887 powiedział w sejmie, że Polacy utracili swoje prawa przez rewolucję, zapytał ś. p. Windthorst: dla czego z Berlińczykami nie obchodzą się gorzej, niż z innymi obywatelami państwa, przecież i oni zrobili r. 1848 rewolucję. Na to pytanie zamilkł minister Puttkamer“

Kölnische Volkszeitung wyraża nadzieję, że rząd nie posłucha rad niedorzecznych:

„Nie może on opierać się ani na liberalizmie, ani na agrarnym konserwatyzmie, czy chciałby może zadrzeć i z centrum? Nie wierzymy. Równocześnie uważamy za swój obowiązek oznaczyć dokładne granice, aż do której możemy popierać politykę rządową — nie tyle dla wiadomości rządu, ile kraju i członków naszego stronnictwa“.

Temu wyraźnemu oświadczeniu dzienniki niemieckie nadają poważne znaczenie, bo wyraża ono pogląd przywódców stronnictwa katolickiego.

Z OBCEGO ŚWIATA.

— *Tajny układ niemiecko-rosyjski.* Niejednokrotnie już Bismarck narobił rządowi niemieckiemu kłopotów swoją złośliwą gadatliwością. Z powodu rozpraw w prasie o sojuszu francusko-rosyjskim, *Hamburger Nachrichten* ogłosiły sensacyjny artykuł, dowodzący, że dopóki Bismarck stał u steru rządu między Rosją a Niemcami istniało tajne porozumienie, zawarte, ma się rozumieć, bez wiedzy innych państw, należących do trójprzymierza.

Ugoda między Rosją a Niemcami zawarta była, jak twierdzi obecnie *N. F. Presse* na piśmie i podpisana przez ministrów w imieniu monarchów. O istnieniu tego traktatu nie wspomniano żadnemu mocarstwu. Zawarta była ugoda w r. 1884 na sześć lat. Rosya i Niemcy zobowiązywały się do zachowywania życzliwej neutralności gdyby zostały zaczepione przez jakie inne mocarstwo, np. Rosya przez Austryę lub Niemcy przez Francję. Jednocześnie wszakże rząd niemiecki na mocy umowy o trójprzymierzu obowiązany był do czynnego pomagania Austrii, gdyby Rosya wypowiedziała jej wojnę. Dwoistość polityki niemieckiej zaznacza się wyraźnie, bo określenie, która strona występuje zaczepnie, jest zupełnie dowolnem.

Korzystny dla Niemiec traktat miał być po r. 1890 odnowionym. Wszystko już było przygotowane do podpisu monarchów. Tymczasem zjawił się pewnego razu u Bismarcka hr. Szawałow i oświadczył, że car Aleksander III waha się zawrzeć umowę, jeżeli inny kanclerz stanie na czele polityki niemieckiej. Jednakże, chociaż wkrótce potem Bismarck dostał dymisy i kanclerzem został Caprivi, Rosya gotowa była wznowić umowę, lecz Niemcy odrzuciły propozycję, oświadczając, że poprzestają na trójprzymierzu. W związku z tem nastąpiły później starania o porozumienie się z Anglią i próba łagodniejszej polityki względem Polaków. Polityka polska Caprivięgo, zdaniem przybocznego organu Bismarcka, zaostrzyła stosunek Niemiec do Rosyi, która następnie dla powetowania sobie zerwanego przymierza z Niemcami zbliżyła się do Francyi.

Naturalnie, ujawnienie wspomnianych wyżej faktów jest dla rządu niemieckiego bardzo przykrem. Nie przeczy im jednak, przeciwnie potwierdza je w znacznej mierze urzędowe oświadczenie, zamieszczone w *Reichsanzeigerze*, które tu przytoczymy dosłownie: »Podczas publicznego omawiania najnowszych rewelacji *Hamburg. Nachrichten* o niemiecko-rosyjskich stosunkach do roku 1890, wyrażano wielokrotnie życzenie, aby rząd także ze swej strony zabrał głos w tej sprawie. *Reichsanzeiger* jest upoważniony do oświadczenia, że to się nie stanie. Dyplomatyczne zdarzenia tego rodzaju, o jakich *Hamb. Nachrichten* wspominają, należą, ze względu na swój charakter, do najściślejszych tajemnic państwowych. Sumienne ich przestrzeganie jest międzynarodowym obowiązkiem, którego przekroczenie mogłoby narazić ważne interesa państwowe na szkodę. Cesarski rząd musi się przeto wyrzec wszelkich wyjaśnień i w sprawie owych wynurzeń nie będzie ani prostować fałszów, ani uzupełniać braków, żywiąc to przeświadczenie, że ufność w uczciwość i wierność w dotrzymywaniu traktatów niemieckiej polityki zbyt silnie u innych mocarstw jest zakorzeniona, aby nią mogły zachwiać tego rodzaju „rewelacje“.

Wiadomo zresztą, że rząd niemiecki namyślał się, czy nie należy użyć względem Bismarcka i jego organu surowych środków, ale wytoczenie dawnemu kanclerzowi procesu o zdradę tajemnicy państwowej nadałoby sprawie niepożądanego rozgłosu. *Hamburger Nachrichten* zapewniły formalnie, że artykuł nie pochodzi od Bismarcka.

Prasa wiedeńska zachowuje się powściągliwie, włoska nawet półurzędowa nie tai swego oburzenia, francuska udaje że nie wierzy ogłoszonym faktom, które rzucają cień nie tylko na politykę Niemiec, ale i na uczciwość Aleksandra III, poważne dzienniki angielskie twierdzą, że sprawa ta musi osłabić trójprzymierze.

Dla nas wynurzenia Bismarcka ważne są z dwóch względów. Okazuje się dowodnie, że Austria była bezwiednym narzędziem polityki niemieckiej i że kombinacja trójprzymierza miała na celu jedynie zabezpieczenie interesów Niemiec, a raczej utrzymanie ich hegemonii w Europie. Właściwie, pomimo zerwania ugody rosyjsko-niemieckiej, stosunki niewiele się zmieniły. Austria niema swobody działania w najważniejszych dla siebie sprawach. *Nowoje Wremia* zamieściło niedawno znamieny artykuł, wykazujący że dla Rosyi istnienie trójprzymierza jest bardzo korzystnem, o ile Austria musi działać zgodnie z Niemcami i nie może w sprawie wschodniej porozumieć się z Anglią. Przewództwo Niemiec w trójprzymierzu ułatwia Rosyi porozumienie się z niemi, a za ich pośrednictwem z Austrią i Włochami, bo Niemcy nie mają własnych interesów na Wschodzie, są więc skłonne do wszelkich ustępstw. Jest to istotnie otwarte i jasne przedstawienie dzisiejszego stosunku mocarstw. Fantazje afrykańskie Wilhelma II odstrychnęły od trójprzymierza Anglię i Austria dzisiaj w sprawie wschodniej zupełnie zależną jest od Niemiec. Z wynurzeń Bismarcka wynika również, że jedną z podstaw przyjaźni rosyjsko-niemieckiej była zgodnie stosowana przez oba państwa polityka gnębienia Polaków. Dostęć przypomnieć sobie, że ugoda zawarta została w r. 1884 i że zaraz potem wydano w Prusiech rozmaite rozporządzenia skierowane przeciw żywiołowi polskiemu, a jednocześnie w Królestwie i w kraju zabranym nastąpiło wzmocnienie systemu rusyfikacji i rządu Hurki, obostrzenie ukazu, zabraniającego Polakom nabywać ziemię na Litwie i Rusi i t. d. Ten sześciolatek istnienia ugody rosyjsko-niemieckiej zaznaczył się w polityce wewnętrznej obu państw całym szeregiem ustaw i środków, mających na celu zagładę narodowości polskiej. Następne sześciolatek zajęte było już tylko dalszym tych pomysłów i zarządzeń rozwijaniem i uzupełnianiem.

KRONIKA.

— Narodowcy ruscy, należący do odłamu, który przedstawiają p. p. Barwiński i Wachnianin, utworzyli organizację polityczną p. n. Rusko-narodowy związek katolicki. Metropolita Sembratowicz przyrzekł popierać związek.

— Ks. Stojakowski aresztowano w Sanoku i osadzono w więzieniu na zasadzie §. 303 ustawy karnej, który mówi o znieważaniu postanowień i urządzeń uznanego w państwie kościoła (odprawianie mszy i udzielanie Sakramentów pomimo kłatwy).

— 7 listopada przypada 50-ta rocznica zgonu Karola Marcinkowskiego, wielce zasłużonego działacza wielkopolskiego. Powstał projekt przeniesienia pomnika zmarłego z

Dąbrówki ludomskiej, którą nabyła komisja kolonizacyjna — do Poznania.

— W Tarnowie ustawiony będzie wkrótce na placu krakowskim pomnik Kościuszki.

— W Mysłowicach urzędnicy celnicy skonfiskowali kilkadziesiąt lasek, napełnionych odezwaniami rewolucyjnymi w języku rosyjskim, drukowanymi na cienkiej bibułce.

— Biskupa wrocławskiego Koppa podczas objazdu dycezyi witali przemowami polskimi w Lipinach robotnik Miller a w Królewskiej Hucie ślusarz Friedrich. Ten ostatni przemawiał w imieniu ludu górnośląskiego, „który chce po polsku między sobą mówić, po polsku dzieci wychowywać, do Pana Boga się modlić i w kościołach hymny śpiewać, jako słowiczek chwali Boga w tej melodii, której się od matki natury nauczył”. P. Friedrich prosił biskupa, żeby wystąpił w obronie ludu polskiego i na dowód, że wszyscy podzielają jego żądanie, lud wznosił trzykrotny okrzyk.

— Na Śpiżu, w okolicach zamieszkałych przez ludność polską, były podczas wyborów do sejmu węgierskiego rozruchy. Nowe stronnictwo ludowe, mające charakter katolicki, agituje między ludnością słowiańską; w Niedziey, pod Pieninami i w Lubowli wojsko strzelało do ludu.

— W Olsztynie na Warmii odbyła się niedawno konferencja nauczycieli. Księża katolicy, którzy zajmują jeszcze urzędy inspektorów szkolnych, na zebranie przybyć nie chcieli, ponieważ na ostatnim zjeździe nie dano im głosu, kiedy w sprawie języka polskiego w szkole pragnęli przemawiać. Władza zażądała od owych księży wyłomnienia się: dla czego w konferencji udziału nie wzięli.

— Z Królewskiej Huty na Śląsku donoszą, że wyrzucono zupełnie naukę religii w języku polskim z planu nauk we wszystkich szkołach w okręgu górniczym.

— Utworzono zostało towarzystwo dramatyczne polskie, które podczas zimy objeżdżać będzie miasta w Prusiech zachodnich i dawać przedstawienia.

— W Aczyńsku (gub. jenisejska) zmarł ks. Gruszczyński, profesor seminarium kieleckiego, jeden z 24 księży, skazanych przed dwoma laty na wygnanie. Z tych księży 17 pozwolono wrócić obecnie do kraju, 7 zaś profesorom skrócono tylko termin kary.

— Ks. Wacław Gluźniński, proboszcz z Małego Pobiednika w dycezyi kieleckiej, wysłany został do gubernii wołódzkiej za to, że w mowie, wygłoszonej na pogrzebie św. p. Perskiego, nazwał nieboszczyka, który w r. 1831 służył w wojsku polskim, dobrym obywatelem.

— W Krakowie od października wychodzić zaczęło pismo miesięczne, p. n. *Polak*, przeznaczone dla ludu i mające głównie na celu zapoznanie czytelników z życiem narodowym i ze sprawami politycznymi w trzech zaborach.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Z. B. w St. Liczba ludności polskiej na Węgrzech nie jest dokładnie znana, mieszka ona nie tylko na Śpiżu, ale i w kilku sąsiednich komitatach liptowskim, orawskim i t. d.

P. Z. K. w Czer. Nie możemy spełnić żądania pańskiego.

TREŚĆ: Nowe nadzieje polityki ugodowej w zaborze rosyjskim. — Zniemczenie miast w Księstwie Cieszyńskim, nap. Piastun. — Listy Warszawiaka z Galicyi, nap. R. Skrzycki. — Z całej Polski. — Z zaboru rosyjskiego (Warszawa). Z zaboru pruskiego (Poznań. Wyrok w sprawie opalenickiej. Prześladowanie kleryków). — Z Galicyi. — Z kresów (Ostrawa Morawska). — Z wychodźstwa i kolonij. — Przegląd prasy. — Z obcego świata. — Kronika.